PROZA T. CHRÓŚCIELEWSKIEGO STR 4
wiersze o kobietach STR.4
FILM STR 7
NAOCZNY ŚWIADEK STR 6

ODGŁOSY

ROK XIX NR 10 (952) 4 MARCA 1976 ROK CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Za cztery dni na całym świecie obchodzony będzie uroczyście Międzynarodowy Dzień Kobiet. „Odgłosy" święto to przypominają poprzez słowo poetyckie; przecież i muza poezji jest kobietą i sama poezja jak najściślej związana jest z piękniejszą połową ludzkiego rodu. Z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet życzymy wszystkim paniom wiele uśmiechu, powodzenia i sukcesów zarówno zawodowych jak i osobistych.

Na drugiej kolumnie kontynuujemy rozpoczęty przed tygodniem cykl rozważań Jerzego Wawrzaka na temat sztuki i życia, wydarzeń i refleksji związanych z funkcjonowaniem w życiu społecznym zjawisk artystycznych.

Sprawom kina poświęcamy całą kolumnę, gdzie Ewa Nurczyńska snuje refleksje na temat dyskusji filmowych — tym razem na szklanym ekranie. Paweł Jędrzejewski i Andrzej Zalewski natomiast podsumowują ubiegły sezon filmów krótkiego metrażu.

Miłośników motoryzacji zainteresuje z pewnością artykuł Jana Bąbińskiego, który zapewnia nas, że nie będzie śmierci auta we współczesnej cywilizacji. Rozważaniom ekonomicznym w cyklu „Ludzie i gospodarka" poświęcony jest artykuł Krzysztofa Pogorzelca a problemom oświaty felieton Janusza Marchewy.

Zygmunt Gzella pisze o nowej premierze w Teatrze Wielkim, Zbigniw Dominiak omawia nową książkę Władysława Huzika, a Lektor przypomina listy z Rapperswilu Stefana Żeromskiego.

Ponadto stałe pozycje informacji książkowych, felietonów oraz bogato ilustrowany Magazyn.

MOTORYZACJA

JAN BĄBIŃSKI

ŚMIERCI AUTA NIE BĘDZIE

— Według mnie zawsze jest to samo — powiedział mi niedawno jeden z tych starych łódzkich robociarzy. — Albo jest za dużo pieniędzy ale mało towaru, albo jest mało pieniędzy i dużo towaru.

Uproszczony to oczywiście pogląd na sprawy rynku i poziomu życia, dość wprawdzie rozpowszechniony i oparty na osobistych niejako obser-

Dalszy ciąg na str. 8

IDEOLOGIA

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

WIELKIE SŁOWO: MY

„MY" jest liczbą mnogą od „JA". „MY" zakłada, że „JA" biorę udział w jakiejś zbiorowości, jestem jej członkiem, realizuję wraz z nią wspólne cele i wspólnie ponoszę odpowiedzialność. „MY" zbudowaliśmy Port Północny. „MY" zdobyliśmy srebrny medal na mistrzostwach świata w piłce nożnej. „MY" budujemy „Fiaty 125" i „Fiaty 126". „MY" budujemy statki dla innych krajów. „MY" eksportujemy myśl techniczną i „MY" ją kupujemy od innych.

„JA" w tym wszystkim nie zawsze uczestniczę, często nie potrafię odróżnić rudowęglowca od tankowca, w piłkę ostatni raz kopałem w latach odległej młodości, a z budowaniem portów czy samochodów też nie mam nic wspólnego. „JA" jestem urzędnikiem, studentem, robotnikiem budowlanym, włókniarzem, kierowcą. „JA" utożsamiam się jednak z sukcesami, jakie odnosi naród, dumny z nich jestem, bo jestem częścią tego narodu.

„ONI" są inną zbiorowością, w której „JA" nie uczestniczę. Kiedy „JA" mówię „ONI", wyraźnie się od tej zbiorowości odcinam, odcinam się od tego, co „ONI" robią, odcinam się od odpowiedzialności za to, co i jak „ONI" robią. „ONI" przegrali mistrzostwa Europy w piłce nożnej, „ONI" nie troszczą się należycie o zaopatrzenie, „ONI" podejmują nierozsądne decyzje. „ONI" nawalają z kooperacją, „ONI" produkują buble. Kiedy „JA" mówię „ONI", czasem wiem kogo mam na myśli, potrafiłbym wymienić „ICH" z imienia i nazwiska, a czasem jest to pojęcie zupełnie abstrakcyjne

Dalszy ciąg na str. 3

LUDZIE I GOSPODARKA

KRZYSZTOF POGORZELEC

ILU NAS DO PIECZENIA CHLEBA

GUS już to obliczył: jest nas 34 miliony 180 tysięcy. Co 105 sekund rodzi się nowy obywatel PRL. Wynika z tego rachunku, że około roku 1980 staniemy się państwem liczącym 36 milionów mieszkańców. Dużo to czy mało? No cóż — zamiast odpowiedzi postawię nieco inaczej sformułowane pytanie: czy procesy demograficzne zachodzące w naszym kraju idą w odpowiedniej proporcji z naszymi zamierzeniami przyszłego rozwoju gospodarczego i społecznego?

NIE TYLKO NASZE ZMARTWIENIE

Aby być w zgodzie z prawdą i cały problem osadzić we właściwych realiach, warto w tym miejscu zauważyć, że zjawiska demograficzne, a przede wszystkich ich skutki, są pilnie śledzone we wszystkich krajach wysoko rozwiniętych i nie są tylko naszym — polskim zmartwieniem. Można się tutaj powołać na przykłady Węgier, Czechosłowacji czy Niemieckiej Republiki Demokratycznej, ale oczywiście nie tylko w tych państwach ten problem jest przedmiotem bacznej uwagi. Nie tak dawno na łamach amerykańskiego tygodnika „BUSINESS WEEK" ukazała się bardzo obszerna publikacja analizująca wszechstronnie przewidywane procesy demograficzne w Stanach Zjednoczonych oraz ich skutki ekonomiczne. Są to interesujące rozważania i warto im nieco poświecić tutaj miejsca choćby dla celów poznawczych. Tak więc „BUSINESS WEEK" między innymi pisze:

„Więcej dzieci, mniej kilkunastolatków, dużo więcej młodych ludzi dorosłych, mniej obywateli w średnim

Dalszy ciąg na str. 5

ZA TYDZIEŃ

w „Odgłosach" piszą między innymi:

— **Joachim Walther** — „Zielony weekend" — opowiadanie w tłumaczeniu Konrada Frejdlicha,

— **Andrzej Blajer** — „Hasło — BREAKERS" — kolejny odcinek „Centrum tajnego frontu",

— **Bogdan Krakowian** — „Co widział prorok?" — drugi fragment opracowania książki amerykańskiego specjalisty od budowy rakiet, Josefa F. Blumricha, który poddał analizie z punktu widzenia współczesnej techniki proroctwa Ezechyjela,

— **Tadeusz Papier** — „Stare cienie" — fragment powieści,

— a także felietony, recenzje, publicystyka.

ŁODZIANIE–75

W ślad za komunikatem ogłoszonym w ubiegłym, dziewiątym numerze „Odgłosów", który przyniósł nazwiska zwycięzców plebiscytu „Łodzianie 1975" miło nam stwierdzić, że znamy już także szczęśliwych zdobywców nagród, w postaci bonów towarowych rozlosowanych wśród Czytelników, nadawców kuponów plebiscytowych.

Nagrodę I — otrzymuje GRAŻYNA ANTCZAK, zam. w Łodzi, Rajdowa 7;

Nagrodę II — otrzymuje ANTONI WŁODAREK, zam. w Łodzi A. Struga 27a;

Nagrodę III — otrzymuje JANINA SMUŁKA, zam. w Pabianicach, ul. Dąbrowskiego 34.

Rozlosowaliśmy także 5 książkowych nagród pocieszenia, które otrzymują:

JERZY CWOJDZIŃSKI, Gorzów Wlkp., Kołłątaja 2a, KRZYSZTOF W. KUCHARSKI, Zgierz, ul. Kolejowa bl. 5, STEFAN MASŁOCHA, Łódź, Tatrzańska 55/57, TADEUSZ ROSIAK, Łódź, Żubardzka 7, JERZY SANDOMIERSKI, Łódź, Orla 23.

Uroczyste ogłoszenie wyników plebiscytu oraz wręczenie nagród Czytelnikom nastąpi na spotkaniu redakcji z Czytelnikami „Odgłosów" w dniu 7 marca br. (niedziela), godz. 16, w Muzeum Historii Miasta, ul. Ogrodowa 15. Zapraszamy na nie wszystkich zainteresowanych. W części artystycznej wystąpią laureaci konkursu „Folklor robotniczej Łodzi".

DEBIUTY 76

W dniu 25 marca br., o godz. 18.00 w Spółdzielczym Domu Kultury „Lutnia" (ul. Piotrkowska 243) odbędzie się Wiosenny Turniej Poetycki „DEBIUTY — 76", organizowany przez Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy przy RŁ FSZMP i SDK „Lutnia".

W turnieju może uczestniczyć każdy, kto zajmuje się poezją i dotychczas nie publikował swoich utworów.

Utwory (nie więcej niż trzy) w 2 egz. maszynopisu (ewent. czytelnym rękopisie), opatrzone imieniem, nazwiskiem i adresem, prosimy nadsyłać do dnia 18 marca br. na adres SDK „Lutnia" z dopiskiem na kopercie: „Turniej poetycki".

Na zakończenie turnieju zostaną przyznane nagrody i wyróżnienia.

W części rozrywkowej wystąpi zespół „Pryzmat" z SDK „Lutnia".

TELEWIZJA

PROPOZYCJE PROGRAMOWE

Czwartek, 4.III — program I:
18.40 Naczelna Redakcja Publicystyki TV zaprasza na kolejny program Karola Lubelczyka z cyklu wzbudzającego żywy oddźwięk widowni — „SPOTKANIA Z MEDYCYNĄ". Temat: polsko-radziecka współpraca w dziedzinie medycyny.
20.30 Projekcja filmu Alfreda Hitchcocka, zrealizowanego w 1949 r. w Anglii pt. „TREMA"
Program II:
17.00 Wśród „LUDZI Z PIERWSZYCH STRON GAZET" — Edmund Kajdasz, dyrygent, założyciel popularnego zespołu „Cantores Minores Wratislavienses", laureat wielu międzynarodowych nagród.
20.25 Mistrzostwa Świata w jeździe figurowej na lodzie (kolor).
Piątek, 5.III — program I:
18.05 W cyklu dokumentalnym „CZŁOWIEK I PRZYRODA": film hiszpański pt. „KAPIBARY" (kolor).
20.25 20-lecie pracy dramatopisarza i poety — Stanisława Grochowiaka stało się okazją do spotkania z nim w cyklu „DIALOGI Z POETĄ O POEZJI". Wiersze Grochowiaka recytować będzie Władysław Kowalski. Spotkanie poprowadzi Marina Niecikowska.
21.55 Mistrzostwa Świata w jeździe figurowej na lodzie (kolor).
23.00 Fragmenty z koncertu w Teatrze Wielkim w Warszawie, upamiętniającego 30-lecie Ochotniczej Rezerwy MO.
Program II:
20.20 Mistrzostwa Świata w jeździe figurowej na lodzie (kolor).
Sobota, 6.III — program I:
(wolna od pracy)
12.50 „Karolowi Szymanowskiemu — na otwarcie Jego Muzeum w Zakopanem".
13.50 Już tradycyjnie w wolną sobotę do późnych godzin nocnych program I wypełni blok STUDIA 2
Program II:
15.05 W programie Kina Miniatur obejrzymy cztery filmy o ewolucji biologicznej i rozwoju cywilizacyjnym ludzkości. Tytuły: „CZŁOWIEK" (węg), „INTERMEZZO DLA WIECZNEJ MIŁOŚCI" (rum.), „EWOLUCJA" (pol.) i „HOMOMANIA" (amer.).
20.15 Mistrzostwa Świata w jeździe figurowej na lodzie (kolor).
Niedziela, 7.III — program I:
13.00 Zakończenie TV Festiwalu Widowisk Lalkowych dla Dzieci. Prezentacja nagrodzonego widowiska: „CZARODZIEJSKA LAMPA ALADYNA".
14.00 Pokazy Mistrzostw Świata w jeździe figurowej na lodzie (kolor).
16.30 „WIERSZE W PLECAKU" — to poetycko-publicystyczny program, popularyzujący działania i zainteresowania artystyczne wśród zespołów wojskowych.
17.40 „POLSKA W OCZACH ŚWIATA" — cykl 6 filmów o Polsce roku 1975, nakręcony przez zagranicznych dziennikarzy i filmowców.
18.20 „MUZYCZNY BUKIET" ofiarują Kobietom w przede dniu ich święta.
20.35 Teatr Nieduży Jeremiego Przybory zaprasza na „GOŁOLEDŹ" z muzyką Jerzego Wasowskiego i scenografią Alicji Wirth. W Teatrze Przybory — jak zazwyczaj wystąpi doborowa stawka aktorów.
22.10 Telekino wyświetli V (ostatni) odcinek angielskiego serialu „NANA", pt. „UPADEK PEWNEGO IMPERIUM".
Program II:
15.30 Projekcja bułgarskiego dramatu obyczajowego pt. „SPRAGNIONA MIŁOŚCI". Debiut w filmie fabularnym młodego reżysera — Ludmiłę Stajkowa. Złoty Medal na MFF w Moskwie, 1973.
Poniedziałek, 8.III — program I:
18.50 „POLSKA W OCZACH ŚWIATA" — film TV Szwajcarskiej (kolor).
20.25 „NAPRAWDĘ JAKA JESTEŚ..." — program rozrywkowy, dedykowany solenizantkom Dnia Kobiet. Reżyseruje Zdzisław Wardejn.
21.25 W Teatrze TV na Świecie obejrzymy widowisko, powstałe na kanwie siedmiu opowiadań Antoniego Czechowa
Program II:
17.15 Zagraniczny Film Dokumentalny zaprezentuje barwne widowisko, niecodzienną rewię na wysokości 4.000 m. Radziecki program filmowy pt. „NIEBO NALEŻY DO DZIEWCZĄT" (wśród nich — 4 Mistrzynie Świata).
Wtorek, 9.III — program I:
18.10 W cyklu: FAKTY — OPINIE — HIPOTEZY Wanda Konarzewska przedstawi badania heliofizyki i heliobiologii, w powiązaniu z medycyną, agrobiologią i meteorologią. Tytuł: „W RYTMIE SŁOŃCA".
18.50 „POLSKA W OCZACH ŚWIATA" — film TV zachodnioniemieckiej (kolor).
20.30 „TRZECIA GRANICA", odc. VII pt. „MYLNE SZLAKI" (kolor).
Program II:
21.35 Klub Filmowy wyświetli francuski film fabularny w reżyserii Marcela Carne „WIECZORNI GOŚCIE".
Środa, 10.III — program I:
17.45 Widowisko słowno-muzyczne „BEZ AUREOLI".
19.00 „POLSKA W OCZACH ŚWIATA" — film TV Słowackiej (kolor).
20.25 Filmoteka Arcydzieł pokaże włoski dramat społeczno-obyczajowy pt. „POSADA". Nagroda FIPRESCI (krytyki filmowej) na MFF w Wenecji, 1961.

KABARET za TRZY GROSZE

Myślę, że nie jestem odosobniony w życzliwym kibicowaniu telewizyjnej działalności Edwarda Dziewońskiego. Ten znakomity aktor komediowy i kabaretowy ostatnio coraz częściej podejmuje się zadań reżyserskich i w tym nowym zajęciu celuje w rzadkiej zdolności wyszukiwania zapomnianych pozycji teatralnego repertuaru, najczęściej komedii z „czarnym humorem", które potrafi w pełnym blasku przywrócić do życia, że przypomnę ostatnio przezeń wystawioną komedię kryminalną Roberta Thomasa „Spółka morderców". Do tej pory były to jednak teatralne drobiazgi, które w rękach Dziewońskiego przeobrażały się w inscenizacyjne bibeloty pełne niezrównanego wdzięku komicznego. Ostatnio zaś ambicje Dziewońskiego — reżysera wzrosły niepomiernie, a ich efekt był do obejrzenia w poniedziałkowym Teatrze TVP w postaci telewizyjnej inscenizacji „Opery za trzy grosze" Bertolta Brechta. Dziewoński bez skrępowania sięgnął po dzieło klasyczne obarczone wspaniałą tradycją teatralną, bowiem „Opera za trzy grosze" przeszła przez warsztaty najwybitniejszych artystów teatralnych naszego stulecia. Dość wspomnieć, że inscenizowali ją twórcy tej miary jak Tairow, Baty, Burian, Strehler, a w Polsce Leon Schiller i to już w rok po berlińskiej prapremierze w 1928 roku. Mimo tej świetnej tradycji, a wspomnieć też trzeba o głośnej ekranizacji Pabsta, tradycji utrwalonej w polskim teatrze kilkoma przedstawieniami na przełomie lat 50-tych i 60-tych, czyli w okresie szczególnej haussy na Brechta, ciągle nie jest to dramat dostatecznie u nas znany. Dlatego też wyborowi Dziewońskiego należy znowu przypisać walor odkrycia.

Dziewoński sięgnął po Brechta powodowany — jak sam wyznał — względami natury stylistycznej. Zapragnął ujrzeć „Operę za trzy grosze" posługując się optyką ekspresjonistyczną i to nie w jej wersji teatralnej, lecz filmowej. Pomysł to ekscentryczny, choć na swój sposób uzasadniony. Aby to uwzględnienie wyjaśnić trzeba sięgnąć do genezy dramatu i do jego miejsca w twórczości Brechta.

W okresie tworzenia „Opery" Brecht wychodził już z tendencji ekspresjonistycznej, w jakiej powstawały jego wczesne dramaty. „Opera" z ekspresjonizmem nie miała już nic wspólnego. Kierunek ten był najbardziej charakterystycznym przejawem niemieckiego ducha, natomiast „Opera za trzy grosze" narodziła się z klimatu narastającego u schyłku lat 20-tych w Niemczech wilhelmińskich inwazji kultury amerykańskiej. „Amerykanizacja" niemieckiego życia w tamtym okresie dochodziła w sposób jaskrawy do głosu poprzez pierwsze formy kultury masowej, takie jak styl prasy, mody, a przede wszystkim muzyki, czyli jazzu. W tym czasie również gwałtownie rosła popularność amerykańskiego filmu sensacyjnego i jego bohaterów, a także masowo kolportowanej literatury kryminalnej. Brecht tak bardzo uwrażliwiony na „ducha czasu" pragnął stworzyć taki spektakl dla szerokiej publiczności, który byłby utkany ze stereotypów masowej wyobraźni. Stąd wziął się pomysł adaptacji XVII-wiecznej angielskiej „Opery żebraczej" Gaya i Pepusha dostosowanej Brechtowską metodą do aktualnej atmosfery społecznej. „Opera" stała się pierwszym wielkim sukcesem młodego Brechta, przynosząc mu błyskawicznie rosnącą sławę i pieniądze.

Geneza sztuki i jej temat wiedzie zatem w stronę stylistyki zaczerpniętej z amerykańskich „zwariowanych lat 20-tych" i można by doskonale wyobrazić sobie „Operę za trzy grosze" wystawioną w smacznie podrobionym stylu retro. Tymczasem wbrew łatwej oczywistości przekorny Dziewoński postawił na konwencję ekspresjonistyczną i w nią ubrał gangsterski temat. Zabieg ten mógłby budzić pedantyczny sprzeciw wobec mechanicznego przenoszenia ekspresjonistycznych chwytów w inną tematykę, gdyby nie zaskakujące wrażenie, że ten ryzykowny pomysł oryginalnie wyostrzył poetykę Brechtowskiego teatru. Jest bowiem „Opera za trzy grosze" jedną z pierwszych krystalizacji teatru epickiego Brechta, teatru deziluzji scenicznej, która polega na ustawicznym podkreślaniu sztuczności teatralnej akcji. W sztuce tej znalazł już pełne zastosowanie słynny efekt V (od niem. Verfremdungseffekt), czyli efekt osobliwości. Otóż Dziewoński znakomicie wzmocnił działanie tego efektu właśnie poprzez wybór tak silnie kreacyjnej poetyki, jaką jest ekspresjonizm. Kostiumy i charakteryzacja, a w mniejszym stopniu scenografia rodem z Kammerspielu, w czym upatrywałbym niezrozumiały brak konsekwencji, cały ten sztafaż składa się na spektakl teatralny wyraźnie skłaniający się w kierunku kabaretu. Stylizacja jest przecież główną cechą kabaretu. Kabaretowa kompozycja również opiera się na aktorskim dystansie wobec scenicznej postaci, na „pokazywaniu" jej przez grającego i „opowiadaniu" aktorskimi środkami wyrazu o jej perypetiach. W ten sposób Dziewoński wychodząc ze swojej domeny teatralnej dotarł ścieżkami stylu do istoty teatru Brechta.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

SZTUKA I ŻYCIE

Jerzy Wawrzak

1.

Wizyta delegacji Oddziału ZLP w Piotrkowie, spotkanie w Komitecie Wojewódzkim. Wstępny bilans tego co można robić wspólnie, w czym sobie wzajemnie pomóc. Młodzi działacze miejscowi: Bartczak, Nowak, Orlewski, Puto w pełni doceniają szansę, jaką jest integracyjny czynnik kultury w nowo powstałym województwie. Łódzcy plastycy już tutaj byli, są odpowiednie porozumienia z łódzkimi teatrami. Mimo lokalnych ambicji Łódź uważana jest nadal za kulturalną stolicę regionu, taki jest rzeczywisty sens układu powstałego w trzydziestoleciu.

Piotrków — piękna karta historii, tradycje kulturalne. W poprzednim wymiarze powiatowym nie zawsze kontynuowane w godnym regionu rozmiarze. Sporo więc do odrobienia, zmiana skali oddziaływania. Możliwości określa postawa działaczy, a tym wyobraźni i pomysłów nie brakuje. Stawiają na rozwój różnych miejscowych form działania w kulturze, np. folklor i ścisłe współdziałanie ze środowiskami twórczymi, naukowymi i placówkami kulturalnymi Łodzi. Zorganizowany niedawno Sejmik Polonistyczny to najlepszy przykład takich możliwości, odnotowany w całej polskiej prasie.

A w najbliższej przyszłości? Zorganizowanie Klubu Literackiego (doliczyliśmy się ok. trzydziestki piszących w Piotrkowie, Tomaszowie, Radomsku, Opocznie), inicjatywy wydawnicze w oparciu o własne możliwości i współpracę merytoryczną z Wydawnictwem Łódzkim, współorganizacja Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji, imprezy folklorystyczne, konkursy literacko-dziennikarskie na „opisanie" Ziemi Piotrkowskiej (Bełchatów!), spotkania autorskie etc. Na łamach „Odgłosów będziemy tym inicjatywom towarzyszyć.

2.

Kilka dni temu na otwartym zebraniu POP ZLP dyskutowano nad sprawami łódzkiej oficyny wydawniczej. Oto garść interesujących, jak sądzę, informacji z wystąpienia dyrektora WŁ, Jacka Zaorskiego.

Po pierwsze, znane perturbacje papierowe nie dotknęły WŁ. Zadania planowe wykonano w wysokości 30 mln zł.

Po drugie, jakość graficzno-edytorska publikacji poprawiła się znacznie.

Po trzecie, uruchomiono nowe serie wydawnicze: „Bibliotekę łódzkich wznowień", „Bibliotekę Poetycką" oraz „Bibliotekę Jugosłowiańską".

Po czwarte, wśród 51 tytułów ukazało się wiele cennych książek, a Kuchowicza „Obyczaje staropolskie" okazały się prawdziwym bestsellerem. Wiele by można przytoczyć tu przykładów na „tak", ale są i na „nie". Przede wszystkim — wznowienia. 5—6 rocznie to stanowczo za mało. Zbyt nieśmiała polityka nakładowa, uginanie się przed aseluranctwem księgarzy, którzy zawsze wolą zamówić mniej niż więcej. Brak, to już nie wina WŁ, informacji — recenzji o książkach w prasie codziennej, łódzkiej także. Ten postulat wraca podczas zebrań literatów jak bumerang i w opinii środowiska urasta do rangi lokalnego skandalu. Ta obojętność łódzkiej prasy codziennej wobec książek ukazujących się w łódzkiej oficynie wydawniczej, jest rzeczywiście zadziwiająca. Nie potrafię podać przyczyn, człowiek zawsze jest bezradny wobec zjawisk irracjonalnych.

3.

Ukazał się kolejny, marcowy numer informatora kulturalnego „Kalejdoskop". Numer szczególnie sympatyczny, bo pomyślany jako prezent dla pań (wiadomo: 8 Marca). Mają więc czytelnicy okazję do zawarcia bliskiej znajomości z kobietami reprezentującymi prawie wszystkie środowiska twórcze. I żeby było pikantniej, prezentują je mężowie (właśni), także znani ludzie sztuki. A więc mamy literackie i graficzne (tak!) portrety: Honoraty i Doroty Chróścielewskich, Barbary Horawianki, Izabelli Kobus, Anny Panasewicz, Danuty Kleczkowskiej-Pospiech, Leny Kowalewicz. O swojej pracy w teatrze piszą: Krystyna Bobrowska i Teresa Worono; Anna Faflik i Helena Nowicka wypowiadają się na temat mniej znanych zdarzeń z produkcyjnej filmowej kuchni.

Piszę o „Kalejdoskopie" nie gwoli reklamy tego wydawnictwa. Każdy numer momentalnie znika z kiosków. Chcę po prostu przypomnieć jak to było na początku, zawstydzić tych wszystkich wybrzydzaczy, niedowiarków i maksymalistów. „Kalejdoskop" pod redakcją Jerzego Katarasińskiego, przy starannym i pomysłowym opracowaniu graficznym R. Kuby-Grzybowskiego, stał się pozycją na którą oczekują nie tylko dlatego, że posiada wkładkę informacyjną o imprezach kulturalnych w danym miesiącu. Zwięzły treściowo, wielopłaszczyznowo skomponowany, jest także przykładem dobrej dziennikarskiej roboty.

4.

Na tych samych łamach „Kalejdoskopu" niezbyt miły zgrzyt. Chwalony przeze mnie przed tygodniem Wacław Biliński w felietonie „Moim zdaniem" pisze o „przegapieniu słonia", jakim jest według Bilińskiego nieprzyznanie Wajdzie nagrody m. Łodzi za „Ziemię obiecaną", film aktualnie kondydujący do Oscara. Oczywiście przyznawanie nagród może podlegać krytyce, kontrowersje towarzyszą także nagrodom państwowym i Ministerstwa Kultury. Zrozumiała sprawa, każdy ma swoich faworytów, jury nie ma więc łatwego życia. Brak mi jednak w zarzutach Bilińskiego pewnych... faktów. A takie przemilczenie jest równe deformacji, ułatwieniu dla swojej tezy. Otóż, nie mogę się zgodzić, że Wajda nie został uhonorowany przez władze miasta. Pamiętamy przecież, że przyznano mu Honorową Odznakę m. Łodzi, był przyjmowany przez I Sekretarza KŁ i Prezydenta miasta, jego praca nad filmem i premiera odbywały się przy powszechnym poklasku. Nie znam drugiego niełodzianina, który zostałby tak godnie uhonorowany. Po cóż więc to rozdzieranie szat o nagrodę, która ma swój statut, regulamin i określoną rolę do spełnienia.

5.

W ostatnią niedzielę w ZLP, na jubileuszu 80-lecia Zofii Lorentz. Skromna, wewnątrzwiązkowa uroczystość: J.H. Wiśniewski mówił o twórczości pani Zofii, Andrzej Ostoja wzruszająco przedstawił życiorys Autorki-Jubilatki, jako człowieka zawsze czynnego, bliskiego ludziom, zaangażowanego w sprawy polskości i... dzieci, które są naszą przyszłością.

Na Jubileusz zeszła się masa pisarzy. Ale nie tylko. Był Konstanty Mackiewicz i aktorzy Teatru Nowego: Barbara Wałkówna i Bohdan Mikuć, którzy odczytali fragmenty prozy Jubilatki. ZG ZLP przysłał telegram, Minister Kultury jubileuszową nagrodę. Jubilatka była zbyt wzruszona, żeby wygłosić przemówienie. Zapisałem z Jej wypowiedzi tylko fragment „recepty na dobrą starość":

— nie przejmować się własną osobą
— włączać się w sprawy zmieniającego się świata
— kochać sztukę i... dzieci.

Przy okazji jubileuszów refleksje rodzą się same. Tym razem także: człowiek realizuje się poprzez swoje wcielenia. Żyje w ten sposób podwójnie, potrójnie, po... Pani Zofia Lorentz ma 80 lat i z optymizmem patrzy w przyszłość. Ostatnio napisała sztukę pt. „Mgła", która znajdzie się na warsztacie wkrótce na Scenie Domu Środowisk Twórczych.

Co wy na to, młodzi, zmęczeni życiem, przyjaciele?

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji).
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.

IDEOLOGIA

Dokończenie ze str. 1

i „MNIE" chodzi tylko o to, aby podkreślić swoją odrębność, zwrócić uwagę, że „JA" za to, co „ONI" zrobili nie ponoszę odpowiedzialności.

Byłoby oczywiście ideałem, gdyby w świadomości społecznej powszechne stało się przeświadczenie, że **„JA" utożsamiam się nie tylko z sukcesami, jakie odnosi naród, ale też i z niepowodzeniami, jakie się „NAM" zdarzają.** W świadomości społecznej pokutują jeszcze stereotypy, które ukształtowały się w poprzednich okresach rozwoju naszego narodu i mimo, że zmianie uległy warunki, że żyjemy w innym ustroju, stereotypy te kształtują w wielu przypadkach nasz stosunek do tego, co jest wynikiem naszego, wspólnego działania.

TROCHĘ HISTORII

W książce „Państwo a rewolucja" Włodzimierz Lenin pisał:

„Nauka o walce klasowej, zastosowana przez Marksa do zagadnienia państwa i rewolucji socjalistycznej, prowadzi nieuchronnie do uznania politycznego panowania proletariatu, jego dyktatury...

Proletariatowi niezbędna jest władza państwowa, scentralizowana organizacja siły, organizacja przemocy zarówno po to, by zdławić opór wyzyskiwaczy, jak i po to, by kierować olbrzymimi masami ludności, chłopstwem, drobną burżuazją, półproletariuszami przy „montowaniu" gospodarki socjalistycznej.

Wychowując partię robotniczą, marksizm wychowuje awangardę proletariatu, która potrafi wziąć władzę i poprowadzić cały lud do socjalizmu, organizować nowy ustrój i nadawać mu kierunek, być nauczycielem, kierownikiem, wodzem ogółu mas pracujących i wyzyskiwanych w organizowaniu ich życia społecznego bez burżuazji i przeciw burżuazji."

Państwo proletariatu jest więc państwem nowego typu, jest formą sprawowania dyktatury proletariatu, a jednocześnie pełni wiele różnorakich funkcji organizatorskich w procesie budowy podstaw ustroju socjalistycznego, a następnie w procesie budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. W trakcie realizacji tych celów państwo socjalistyczne zmienia swój charakter.

„Polska Rzeczpospolita Ludowa — stwierdza uchwała VII Zjazdu PZPR — **jest państwem dyktatury proletariatu, które stopniowo — w miarę postępów w budowie rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego — przekształca się w państwo ogólnonarodowe."**

Nowy charakter państwa polskiego został już zarysowany w **Manifeście PKWN.** Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego stawiał sobie dwa naczelne cele: dalszą walkę z okupantem i **„poprawę bytu szerokich rzesz narodu"**, stwarzając tym płaszczyznę dla współpracy wszystkich postępowych i demokratycznych sił. Obejmując jednak władzę, proletariat musiał zapewnić sobie warunki dla przezwyciężenia oporu sił reakcyjnych, gdyż tylko w ten sposób można było dokonać wszystkich demokratycznych reform, jakie zapowiedział **Manifest PKWN.** Wiemy z naszej najnowszej historii, że realizacja tego programu nie była ani łatwa, ani nie przebiegała w pokojowych warunkach.

W świadomości narodu polskiego silnie ugruntowały się tragiczne doświadczenia, jakie wyniósł z wieloletnich stosunków z państwem, a przede wszystkim z tymi, którzy państwo to reprezentowali. Nim jeszcze Polska szlachecka straciła swoją państwowość, to arystokracja dbając tylko o swoje egoistyczne interesy doprowadziła do całkowitego osłabienia państwa. Później przez całe lata pojęcie państwa kojarzyło się z przemocą zaborców. Pod opiekę tej przemocy chronili się ci tylko, którzy szukali obrony swoich klasowych interesów. Dla chłopów, a później dla robotnika przedstawicielem obcego, ciemiężącego państwa był żandarm, wojsko, urzędnicy. Kapitalista, zagrożony buntem robotników, wzywał na pomoc żandarmów i wojsko. Na wsi władza żyła blisko z dworem i dwór też korzystał z pomocy władzy, kiedy trzeba była „zaprowadzić porządek" wśród chłopów.

Rewolucja Październikowa umożliwiła Polsce odzyskanie niepodległości. Powstało państwo polskie, które jednak mając charakter klasowy i będąc formą dyktatury burżuazji, nie mogło skorzystać z doświadczeń rosyjskich i musiało doprowadzić do likwidacji rad, które powstały na Śląsku, w Warszawie, Łodzi. Powstało państwo, które służyło jednej klasie, jej interesy reprezentowało i broniło.

Do chwili odzyskania niepodległości w 1919 roku czynem patriotycznym było działanie przeciw władzy zaborców, sabotowanie państwowych zarządzeń. Postawa negacji i opozycji była równoznaczna z postawą patriotyczną. W Polsce burżuazyjnej, ze względu na podziały klasowe, nie było warunków dla ukształtowania się innych postaw wśród większości społeczeństwa. Dla robotników i chłopów państwo było narzędziem ucisku klasowego i zawsze w momencie zaostrzających się konfliktów, w momentach narastającej walki, stawało po stronie wyzyskujących przeciw wyzyskiwanym. Klasowy charakter państwa z całą ostrością ujawnił się po przewrocie majowym, w okresie Brześcia i Berezy Kartuskiej.

We wrześniu 1939 roku wszyscy Polacy, bez różnicy wyznania, pozycji i przekonań stanęli w obronie niepodległości. Była to walka o zachowanie bytu narodowego, walka w obronie ojczyzny. W dniach klęski dla wielu stało się jasne, że po odzyskaniu niepodległość przyszły ustrój Polski musi różnić się od tego, który nie potrafił zagwarantować narodowi bezpieczeństwa. Nie wszyscy oczywiście różnice te widzieli w kategoriach klasowych.

PKWN, przystępując do odbudowy niepodległości Polski, stworzył możliwość współdziałania wszystkim patriotycznym, postępowym i demokratycznym siłom, zastrzegając się, że **„jedynie dla agentów hitlerowskich i dla tych, którzy zdradzili Polskę we wrześniu 1939 r. granice Rzeczypospolitej będą zamknięte".**

Foto: Archiwum

KONIEC „SZAREGO CZŁOWIEKA"

Byłoby daleko idącym uproszczeniem, gdyby mówiąc o przedwojennym państwie burżuazyjnym, nie dostrzegać, że obok funkcji klasowych, spełniało też ono pewne funkcje ogólne, próbowało przeprowadzić reformy, które jednak ze względu na egoizm klas rządzących były połowiczne, szczątkowe i przez to nieudane. W świadomości społecznej zatarły się te próby, pozostała natomiast pamięć nieudolności i fakt, że społeczeństwo dzieliło się na rządzonych i rządzących. W świadomości społecznej pozostała pamięć „szarego człowieka", „szarej masy", bezwolnej, którą się manipuluje w imię bliżej niesprecyzowanych ideałów i wyższych racji państwowych. „Szary człowiek" niewiele ma do powiedzenia i jego kontakt z przedstawicielami państwa ogranicza się do spotkań z policjantem, urzędnikiem, komornikiem.

Istota państwa socjalistycznego polega na tym, że realizując cele jednej klasy — robotników — występuje w interesie całego narodu, gdyż cele proletariatu nie są sprzeczne z interesami narodu. W państwie tym nie ma sprzeczności między funkcjami klasowymi a zadaniami ogólnymi i chociaż jest ono państwem dyktatury proletariatu, to jednocześnie wiele uwagi poświęca funkcjom organizatorskim. Z tego też powodu stwarza możliwości współrządzenia, wciągając w orbitę spraw państwowych coraz większą ilość obywateli. Mamy bogate tradycje samorządności. Już w **Manifeście PKWN**, a więc w chwili tworzenia podwalin nowego typu państwa, gwarantowano poparcie dla **„szerokiego rozwoju spółdzielczości"**, która też jest formą samorządności. Obywatel ma więc możliwość poprzez różne formy samorządu, poprzez udział w pracach organów przedstawicielskich, organizacji politycznych, związków zawodowych i organizacji społecznych wpływać na sposób sprawowania władzy, uczestniczyć w tym sposobie, ponosić współodpowiedzialność. W państwie nowego typu zostały stworzone warunki dla „unicestwienia" szarego człowieka — tego, który na nic nie ma wpływu i z którym nikt się nie liczy. A mimo to on nadal żyje.

„...gdy dziś mówimy o państwie — stwierdził na III Plenum KC PZPR, I sekretarz KC, Edward Gierek — **mamy na myśli nie tylko system instytucji, od których sprawności i skuteczności w działaniu niezmiernie wiele zależy. Państwo to coś więcej, to my wszyscy, 34 miliony Polaków. Od naszego zespolenia wokół żywotnych spraw kraju, od rzetelnej pracy, od poziomu świadomości i dyscypliny, od realizacji praw i wypełniania obowiązków, od współdziałania z władzami i instytucjami, zależy siła Polski i pomyślność narodu."**

W kraju naszym w bazie i nadbudowie zostały stworzone warunki dla rozwijania demokracji socjalistycznej. Coraz szerzej prowadzi się dyskusje i konsultacje nad najważniejszymi decyzjami, nad sprawami obchodzącymi cały kraj. Doskonali się system sprawowania organów przedstawicielskich, system kontroli społecznej. A mimo to w świadomości społecznej pokutuje mentalność „szarego człowieka", wyrażająca się w stosowaniu pojęć „MY" i „ONI".

Ta mentalność ma swoje uzasadnienie w przeszłości. Zmiany w świadomości społecznej postępują wolniej niż warunki, które ją tworzą, które wpływają na jej charakter. Ale też zmiany te nie dokonują się samoczynnie. Można je przyspieszać, można hamować. Rozwój wszystkich form demokracji socjalistycznej będzie niewątpliwie przyspieszał zmiany w świadomości społecznej, kształtował poczucie ogólnonarodowej więzi. Rozwój biurokracji, brak dyscypliny, nieliczenie się z opiniami ludzi — hamował.

Na obecnym etapie rozwoju naszego państwa podstawowego znaczenia nabrały funkcje organizatorskie: gospodarcze, społeczne i kulturalno-wychowawcze. Funkcje te realizuje zespół przeróżnych instytucji, które zamykają się w pojęciu administracji.

„Dobra administracja — mówił Edward Gierek na III Plenum KC PZPR — **umacnia autorytet państwa, nieudolna wyrządza mu szkody."**

„Szary człowiek" opinię o funkcjonowaniu państwa kształtuje na podstawie swoich kontaktów z instytucjami, które spełniają na co dzień organizatorskie funkcje państwa. „Szary człowiek" gotów jest cieszyć się z tego, że **ZBUDOWALIŚMY** Port Północny, i **BUDUJEMY** Hutę Katowice oraz z tego, że **NASZE** inicjatywy polityczne cieszą się uznaniem na międzynarodowym forum, ale gotów jest wieszać też psy na „NICH" za to, że jego podanie leży już trzeci miesiąc w urzędzie miasta czy gminy lub w jakiejś innej instytucji i że „Kowalski" ciągle nie ma czasu, aby załatwić tak prostą sprawę. Czy można mieć o to pretensję do „szarego człowieka"?

„Szary człowiek" jest gatunkiem wymierającym.

Aby jednak mógł spokojnie zniknąć ze świadomości społecznej stwierdzenie Edwarda Gierka na III Plenum KC PZPR, że:

„Każde ogniwo procesu zarządzania powinno podlegać społecznej kontroli, na każdym zespole pracowniczym i na każdym pracowniku ciąży obowiązek samokontroli, najlepszej gwarancji prawidłowego wykonania podjętych zadań".

oraz zasada, że:

„więcej dyskusji przed podjęciem decyzji — więcej dyscypliny w ich realizacji"

musi być bezwzględnie przestrzegana na co dzień.

Mamy wszystkie warunki ku temu, aby zasady te realizować w praktyce, a odbywająca się obecnie kampania wyborcza do Sejmu PRL i wojewódzkich rad narodowych powinna być między innymi wykorzystana również i do tego, aby móc szybciej pożegnać się z „szarym człowiekiem" i aby jego miejsce mógł zająć pełnoprawny obywatel, **który będzie myślał „MY" zarówno przy NASZYCH sukcesach jak i niepowodzeniach.** Proces tego typu przemian musi trwać długo, ale trzeba też korzystać z każdej możliwości, aby móc go przyspieszać.

WIELKIE SŁOWO: MY

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NIE TYLKO HISTORIA

STEFANA ŻEROMSKIEGO LISTY RAPPERSWILSKIE

O tak zwanej „Sprawie Rapperswilskiej" napisano wiele; spór o postępowanie zarządu Muzeum Narodowego Polskiego, założonego na gościnnej ziemi szwajcarskiej staraniem Władysława Platera, angażował w początkach naszego stulecia licznych działaczy kultury, pisarzy i polityków. Wystąpienie S. Żeromskiego, by wymienić tu tylko jego broszurę „O przyszłość Rapperswilu" (Kraków 1911), było jednym z licznych współczesnych głosów w tej sprawie, choć niechybnie jednym z najbardziej ważkich. Atmosferę sporu zagęściła dodatkowo okoliczność, że do sprawy włączyła się polityka: wszak w skład rady muzealnej wchodzili już wówczas leaderzy obozu narodowo-demokratycznego... Orzeczenie powołanej do wyjaśnienia sprawy komisji zatuszowało skandal, a sprawa przycichła dopiero, kiedy przesłoniły ją wielkie wydarzenia polityczne, związane z wybuchem I Wojny Światowej. Odtąd nie przestają interesować się nią historycy literatury, w szczególności badacze życia i twórczości S. Żeromskiego. Jak dotychczas jedynie w minimalnym stopniu wykorzystano dla jej wyjaśnienia korespondencję, jaką młody pisarz podczas swej pracy w Muzeum w Rapperswilu prowadził ze sztokholmskim antykwariuszem Henrykiem Bukowskim. Wyzyskał ją po części sam S. Żeromski w jednej ze swych publikacji, potem jednak była ona przez wiele lat niedostępna. Dopiero ostatnio poczęły się pojawiać w druku jej fragmenty, a obecnie otrzymaliśmy do rąk obszerny tom opracowany przez Władysławę Wasilewską, a opatrzony tytułem: „Stefan Żeromski. Listy do Henryka Bukowskiego" (Czytelnik 1975) i przynoszący całość zachowanych listów w krytycznym naukowym opracowaniu.

„Obecna edycja listów Żeromskiego do Bukowskiego — pisze na wstępie wydawca — jest pierwszą zrealizowaną lecz nie pierwszą zamierzoną". Publikacja ta ma swoją zadziwiającą i długą historię. Jeszcze przed II Wojną Światową korespondencją S. Żeromskiego z H. Bukowskim zainteresowała się podczas swego pobytu w Paryżu młoda polonistka dr Wanda z Morzkowskich Tyszkowa. Listy znajdowały się wówczas w posiadaniu siostrzenicy H. Bukowskiego Marii Zielińskiej, która doceniając znaczenie sprawy udostępniła teksty oraz wyraziła zgodę na ich publikację. Listy zostały skopiowane i rozpoczęły się poszukiwania... wydawcy. I tutaj napotkano na opory: sprawa utknęła na martwym punkcie, zaś próba pozyskania dla sprawy poparcia Juliusza Kadena Bandrowskiego spełzła na niczym. Tymczasem W. Tyszkowa zmarła przedwcześnie w 1936 r. i sprawą zajęła się jej matka. Listy szczęśliwie, choć nie bez uszczerbku, przetrwały wojnę, ale do ich ogłoszenia wciąż było daleko. W 1948 r. zmarła matka nieżyjącej polonistki Aniela Morzkowska; pracujące zawodowo córki pozostające w nie najlepszych warunkach, nie mogły zająć się sprawą korespondencji. Dopiero po latach jedna z nich, zdając sobie sprawę ze znaczenia przedsięwzięcia, zdołała nawiązać kontakt ze Stanisławem Pigoniem. Wybitny uczony bardzo zainteresował się tą sprawą, jednak w zupełności odrzucił możliwość publikowania listów w stanie, w jakim zostały mu przedstawione i uznał, że wymagają one poprawnego pod względem naukowym edytorskiego opracowania. Zapalił się do sprawy, ale potem się z niej wycofał ze względu na stan zdrowia: stało się to na pół roku przed jego śmiercią. Tymczasem korespondencja została złożona w Bibliotece Narodowej i poczęła być udostępniana badaczom. Jeden z nich opublikował jej fragmenty w 1969 i 1971 r. Całością zajęła się W. Wasilewska, kontynuując pracę rozpoczętą przez W. Tyszkową. Uzyskała ona dostęp do uzupełniających materiałów znajdujących się w rękach prywatnych i w posiadaniu bibliotek, dotarła do zbiorów paryskich i zdołała zestawić „corpus" korespondencji, opracowała ją krytycznie i wydała w „Czytelniku". „Obecnie — pisze W. Wasilewska — gdy ostatnia właścicielka listów nie żyje, a spuścizna po Gierszyńskich znalazła się w Bibliotece Polskiej w Paryżu, gdzie wyodrębniono z niej listy Żeromskiego, raczej niewielka jest nadzieja na odkrycie jeszcze jakiegoś autografu. Wszystko przemawia za tym, że publikacja Tyszkowej miała objąć rzeczywiście pełną zachowaną u Gierszyńskich korespondencję Żeromskiego do Bukowskiego. Z całości tej udało się zgromadzić obecnie niemal wszystko, tj. zgodnie z wyliczeniem powyższym — 79 listów na 81 dostępnych przed wojną".

Otrzymaliśmy więc zespół listów pierwszorzędnej wagi. Nie tylko dla poznania sprawy rapperswilskiej, uwikłania się w nią wielkiego pisarza. Również i dla wielu innych spraw, związanych z dziejami Muzeum Narodowego Polskiego. Jest to zespół tym cenniejszy, że jak wiemy, materiały rapperswilskie, przewiezione przed wojną do kraju, zginęły bezpowrotnie w zawierusze wojennej. Miłośnicy twórczości S. Żeromskiego otrzymali sporą garść cennych, nieznanych dotąd tekstów pisarza; historycy jeszcze jedno, nadzwyczaj wartościowe źródło dla swych prac.

LEKTOR

BOGUSŁAW SIKORSKI

W TWOJE ŚWIĘTO

Wiosna mojego słońca
Topniejące lody
Drzewa w dalekim przedmieściu
Szumiące wody
W skrzydłach ptaków podróże
Marcowe gody
— dla ciebie
Lato mojego południa
Kwiatem obsypane
Jesień mojego światła
Siwiejące włosy
Kolory tęczy i barwne liście
Zasuszone kłosy
Wszystkie pejzaże tej ziemi
Fioletowe wrzosy
— dla ciebie
Zima mojego czoła
Cokół pomnika
Zielone sosny i cisza wkoło
Która zanika
W drżeniu ostatnich dzwonów
Słowo przenika
— dla ciebie.

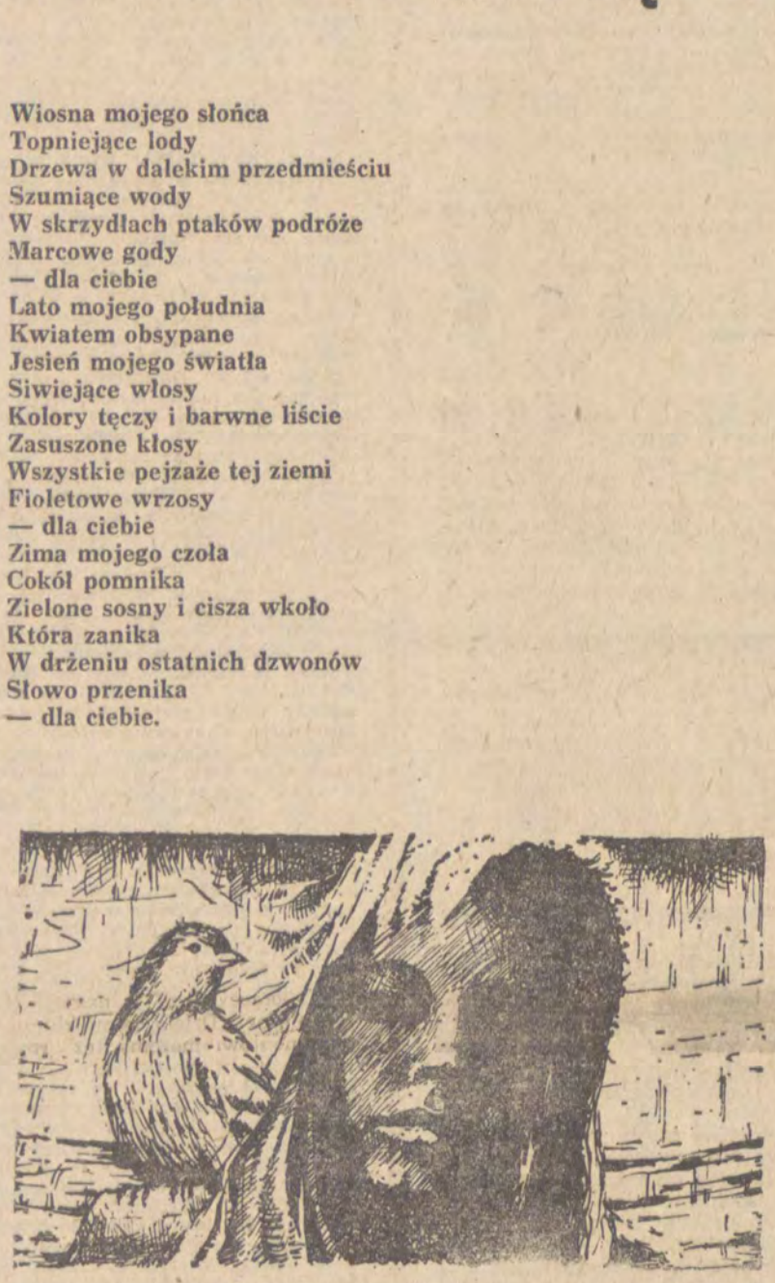

RAFAŁ ORLEWSKI

KOBIETA

jest wyłączna —
pomnożona przez ludzkość
zachowuje siebie
niepowtarzalnie

jest przepiękna —
z porównań budujemy jej pomnik
zawsze niedoskonały —
czymże można upiększyć
piękno pierwsze z najpierwszych

jest najbliższa —
przez jedyną nieosiągalność

jest tworząca —
jej ręce lepią kształty ciepła
brzydkim lalkom
mężczyźnie
dzieciom swoim i cudzym
ciepłem sycą trud
w dzień powszedni i święto

w jej istocie
natura zdoła ochronić
treść pojęcia —
c z ł o w i e k

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

PREZES

Jakkolwiek Czernika nigdy nie opuszczało poczucie winy, że „nie pokochał pługa", to jednak na rozległych obszarach swej psychiki chłopem pozostał. Po „antenatach, praszczurach", nie bez racji swego czasu zwanych, dla odróżnienia od wielmożnych — „pracowitymi", przejął nie tylko pracowitość jako taką, ale i gospodarską niemożność pogodzenia się z sytuacją, żeby coś w polu jego widzenia i działaniu marniało po próżnicy, leżało odłogiem, nie owocowało. Chłop — gospodarz, w odróżnieniu od chłopca na pańskim, jest prakseologiem urodzonym. Wie bez pudła, ile rzeczywiste, a nie formalne tylko i do końca wykonanie danego zadania wymaga pracy, zachodów, i jakich to robót cząstkowych, nieraz niepozornych i niefotogenicznych. Wie i mozoli się, nie dbając o widowiskową efektowność wszystkiego, co czyni.

O fatalnej sytuacji środowiska łódzkiego, pozbawionego od 1948 roku pism, wydawnictw i innych warsztatów pracy, zdawali sobie sprawę prezesi i aktywiści łódzkiego oddziału również i przed Czernikiem. Tyle, że zgodnie z postawą wieszcza — „inżyniera", poprzestawali na stylizowaniu patetycznych memoriałów bądź wystąpień pełnych popisów grandelokwencji. Po każdym wystąpieniu trwali zaś w oczekiwaniu na reakcję oczarowanych ich retoryką władz i jej skutek na skalę „stoliczku, nakryj się". Czekali na próżno.

W 1954 roku Czernik wybrany został po raz pierwszy prezesem Oddziału Łódzkiego ZLP i odtąd funkcję tę pełnił aż do 1959 roku.

Prezes zaczął kadencję od gospodarskiego zapoznania się z realnościami i ustaleniu elastycznego planu działania. W buchalterii Oddziału, liczącego i wtedy około pięćdziesięciu członków, były po stronie „ma" (w czasie, kiedy to na ścianach wszystkich urzędów i słupów ogłoszeniowych definiował otaczającą rzeczywistość afisz z chlebem i tomem poezji na nieskalanym obrusie) następujące możliwości publikacyjne: co sobotę bita strona w dodatku kulturalnym „Głosu Robotniczego" (mieścił się na niej jeden wiersz, dwie strony maszynopisu prozy i fraszka), niewielki program literacki lokalnej redakcji Radia i odczyty TWP (pogadanki o Wiktorze Hugo czy Konopnickiej według dostarczonego prelegentowi konspektu) a także pewna ilość spotkań autorskich po świetlicach i szkołach z funduszów Wydziału Kultury (nawet bowiem stały punkt spotkań autorskich w Ośrodku Propagandy i Sztuki zlikwidowano w 1952 r. jako „elitarny"). Ta zatem strona i to powielanie odgórnych pogadanek miały zaspokoić aspiracje twórcze znacznego środowiska — środowiska, które, poza rzeczywistymi członkami ZLP, skupiało w swych szeregach kilkunastu tzw. członków — kandydatów (nie istniejąca obecnie kategoria literatów nie posiadających własnej publikacji książkowej) oraz kilkunastu członków Koła Młodych. Instytucje członków — kandydatów i Kół Młodych powołano z myślą o zasileniu środowiska o wczorajszych nawykach tematycznych i estetycznych zdrowo myślącą nie zepsutą młodzieżą. Idea ta jednak została o tyle nie doprowadzona do końca, że scentralizowane w Warszawie instytucje wydawnicze powodowane ostrożnością polityczną i w trosce o unikanie ryzyka wolały wydawać pisarzy wypróbowanych już, przez co np. na gruncie łódzkim do 1947 r. kiedy to wyszło, częściowo nakładem własnym autora, „Wołanie drzew" Sikiryckiego do 1955 r., kiedy ukazały się w „Iskrach" „Spojrzenia" J. Czarnego nie miał miejsca ani jeden poetycki debiut wydawniczy. Dla pełnego obrazu warto dodać, że w 1950 r. zlikwidowana została w Łodzi miejscowa nagroda literacka, legitymująca się poważnymi tradycjami przedwojennymi. Gwoli bezstronności, a więc nieprzeczerniania obrazu, należy wspomnieć jednak w tym miejscu, że w 1952 r. władze centralne zabezpieczyły Oddziałowi możliwość wydania almanachu środowiskowego, jako swoistego majstersztyku, po którym miano zorientować się, czy Łódź pisarska zdolna jest wydawać własny kwartalnik bądź miesięcznik. Szansa ta została rychło pogrzebana przez niemożność stworzenia koncepcji almanachu oraz przewlekłe spory kompetencyjne komitetu redakcyjnego.

Jest faktem, że pod koniec 1955 r. tendencje centralistyczne zelżały i nastąpiło pewne rozsztywnienie gorsetu organizacji kultury, zwiększyły się też kompetencje rad narodowych również i w dziedzinie kultury. Niemniej szanse, jakie okoliczności te dawały, mogły nie być na czas albo i wcale wykorzystane, gdyby nie gospodarność, zapobiegliwość, konstruktywna wyobraźnia, a zarazem poczucie rzeczywistości i brak wieszczowskich manier nowego prezesa. Czernik zerwał z zakorzenionym w środowisku traktowaniem z pańska, obces urzędników, zwłaszcza kultury, jako żywych modeli dla dobrze widzianych w swoim czasie satyr na bezduszność i nieróbstwo „biurokratów". Uznał w ówczesnym kierownictwie Wydziału partnerów do starań o rzeczywiste zwiększenie prestiżu literatury w praktyce życia Łodzi, a i odczuciu jej „ojców" (oto kilka przykładów tego typu akcji podjętych w oparciu o idealne partnerstwo: Wydział Kultury — Zarząd: akademia miejska po śmierci Tuwima i takaż z okazji rocznicowych na dużą skalę uroczystości Mickiewiczowskich*, współudział w pierwszej w Łodzi akcji wmurowywania i uroczystych ich odsłonięć tablic w miejscach związanych z życiem i działalnością wielkich pisarzy przeszłości — Reymont, Miciński, Tuwim; zręczne wykorzystanie właściwego momentu do wskrzeszenia Nagrody Literackiej — z nowym dodatkiem w tytule — im. Juliana Tuwima; jubileusze z dużą oprawą propagandową kilku wybitnych pisarzy, specjalne Dni Literatury Łódzkiej, organizowane w ramach dekady Dni Oświaty, podczas jednych z nich konkurs wspólnie z „Dziennikiem Łódzkim" pt. „Czy znasz pisarzy łódzkich?" Czernik też wspólnie z kierownictwem Wydziału, korzystając z jego orientacji w skomplikowanym labiryncie kompetencji, wzajemnych powiązań i zależności instytucji municypalnych i zwierzchnich, a w dużej mierze dzięki kulturze osobistej, taktowi, umiejętności konferowania z ludźmi na niższych szczeblach drabiny urzędniczej, bez patosu, ważniactwa, zaś na wyższych bez podskakiewiczowstwa) walnie dopomógł do przekształcenia zainicjowanej przez G. Timofiejewa pisma bez statusu „Łódź Literacka", w regularnie wychodzący pod auspicjami RSW „Prasa" ambitny dwutygodnik „Kronika". Mądre i taktowne wystąpienia i pisma Czernikowskiego zarządu walnie też dopomogły Wydziałowi w jego staraniach o zwiększenie o 100 proc. budżetu na spotkania autorskie na terenie Łodzi.

Koroną jednak i uwieńczeniem działalności wielokadencyjnego (ku irytacji niektórych niechętnych, jako że środowiska pisarskie odziedziczyły po przodkach obsesyjną niechęć już nawet nie do absolutum ale w ogóle wszelkiemu dominium) prezesa i zarazem doprowadzeniem do zasadniczego przełomu w wypełnianiu przez pisarstwo łódzkie jego zasadniczej powinności, i jego rozwoju, było stworzenie w 1957 r. Wydawnictwa Łódzkiego. Sprawa była wyjątkowo trudna, biorąc pod uwagę kosztowność takiej inwestycji, jak wydawnictwo (zwłaszcza po wyczerpaniu puli klasyków, których od dawna już rozdzielono między oficyny z wcześniejszym rodowodem), a i fakt, że tzw. moce produkcyjne są nie tylko dzisiaj wąskim gardłem przemysłu poligraficznego. Wszelkie poprzednie nagabywania o wydawnictwo w Łodzi zawsze spotykały się z argumentem „nie do odparcia", że Łódź jest przedmieściem Warszawy. W tym czasie zdarzyła się (nie bez zabiegów Wydziału Kultury) rzecz w Łódzkiej Radzie Narodowej, zaprzątniętej dotychczas zawsze bez reszty kłopotami komunalnymi i przemysłem, bez precedensu: ojcowie miasta postanowili jedną ze swych sesji poświęcić wyłącznie życiu kulturalnemu Łodzi. Wydział przygotowując materiały do sesji, a więc i projekt uchwały, wstawił do niej m.in. punkt o konieczności powołania do życia wydawnictwa literackiego. Punkt przeszedł bezkolizyjnie przez Charybdy i Scylle przygotowań i uzgodnień na zatwierdzających szczeblach. Potem uchwała zapadła. Teraz można było poważną szansę, jaką dawał dokument, równie dobrze wykorzystać, jak i zmarnować. Rozpoczął się najpracowitszy bodaj okres kilkukadencyjnych rządów Czernika. Czernik, wiceprezes Gomolicki i prezydium zarządu ZLP wraz z kierownictwem Wydziału Kultury — przy aktywnym poparciu Komitetu Łódzkiego Partii — nie ustawały teraz w cierpliwym (jakże wtedy przydała się i jakie zwycięstwa odnosiła Czernikowska chłopska cierpliwość!) okupowaniu poczekalni władz, w tym ówczesnej wyjątkowo niechętnej sprawie władczyni Departamentu Wydawnictw. Dość niespodzianie nasunęła się możliwość (którą na pewno działacze związkowi o nastawieniu „europejsko" — prophetycznym z miejsca by odrzucili jako niepoważną) rozwiązania tej sprawy, że użyję tu znów tak adekwatnej metafory ze słownika rustykalnego — sposobem gospodarczym. W czasie narady w Wydziale Kultury padł nagle projekt — niepewnie rzucony przez jednego z ówczesnych pracowników Wydziału, znanego historyka sztuki — stworzenia wydawnictwa w oparciu o bazę, fundusze i szczęśliwie dość szeroko sformułowany statut łódzkiej spółdzielni pracy o nazwie „Poziom", specjalizującej się w introligatorstwie, a także w wydawaniu odkrytek i kształcących zabawek (m.in. składanka kartonowa ballady „Pani Twardowska" z „filologicznym" aparatem „naukowo" objaśniającym, co dziecko widzi na tym obrazku). Władze „Poziomu" właśnie od dawna marzyły o dziale wydawniczym, który zaspokoiłby ich ambicje również mecenasa literatury. Jeszcze kilka wizji lokalnych Departamentu w „Poziomie", kilka narad na różnych szczeblach i wydanie na własną rękę przez „Poziom" jako majstersztyku „Znachora" Dołęgi-Mostowicza — wreszcie historyczne „tak" niechętnej dyrektor i miniaturowe wydawnictwo, a właściwie dział wydawniczy spółdzielni „Poziom", prowadzony w ramach umowy z Łódzkim Oddziałem ZLP suwerennie przez władze Związku — stał się faktem. Było to pod koniec 1957 r.

Tę suwerenność działu wydawniczego w zakresie polityki edytorskiej trzeba było jeszcze wywalczyć drogą cierpliwych pertraktacji. Pamiętam — jako pośrednik i ewentualny rozjemca z ramienia miasta — jedną z takich konferencji prezesa Spółdzielni z prezesem ŁO ZLP, a zarazem naczelnym redaktorem przyszłego działu wydawniczego. Miała ona miejsce w świetlicy Związku:

— Pan, panie prezesie — perorował panu Stanisławowi prezes Spółdzielni — jako człowiek życiowy, rozumie przecież doskonale, że wydawać powinniśmy to, co ludzie lubią, nie oglądając się na jakiś tam poziom artystyczny. Znam jednego gościa w Krakowie, który pisze t a a a k i e kryminały.

Charakterystyczne mruganie oczu przy nienagannie uprzejmym wyrazie twarzy, świadczyły, że prezes Czernik nie jest tak „życiowym człowiekiem", za jakiego uważał go prezes — mecenas.

Niebawem pokój zebraniowy w naszym lokalu ZLP stał się w godzinach biurowych gabinetem naczelnego i zarazem pracownią redakcji. Sekretariat Związku był zaś jednocześnie halą maszyn. Pracownice związkowe odrywały się co chwila od biurowych zajęć tłukąc na maszynach dostarczane jak z taśmy z pokoju ambulatorium lekarskiego dla członków ZLP świeżo adiustowane maszynopisy książek. Dwie nobliwe panie adiustatorki (Poulain i Tarkowska) rezydowały we wspomnianym gabinecie, odwrócone niezmiennie tyłem do leżanki ambulatoryjnej, na której „siostra" kłuła niezmordowanie mistrzów pióra. Przy tamtym zaś wielkim stole w pokoju zebrań pochylali się w niejakim milczeniu nad świeżo dostarczanymi przez autorów maszynopisami trzej pierwsi redaktorzy WŁ: naczelny — Czernik i dwaj zastępcy naczelnego (mniej godnych w redakcjach na tamtym etapie jeszcze nie było) Gomolicki i Saloni. Poza ideą i oddaniem pracy łączyła wtedy, pamiętam, te trzy zapracowane indywidualności przedziwna, całkiem tu nadrealistyczna, żywa istotka: oswojony wróbelek, który z gadulskim świegotem skakał po głowach redaktorów i dobielał i tak już białą głowę prezesa.

Pokój boczny ze szklanymi rozsuwanymi drzwiami przeznaczony był do rozmów typu konfesjonalnego z autorami. Zasiadali tam również ilustratorzy pierwszych książek — plastycy — nowatorzy oraz młodsi poeci związkowi, także o ambicjach nowatorskich. Zachęceni przez Czernika, stworzyli dość ruchliwą grupę plastyczno-poetycką, o prowokacyjnej w tym mieście, w którym sprawy muz pozostawały zawsze jednak, pomimo nastałych lepszych czasów, na planie dość odległym — „Piąte Koło". Grupa ta pod patronackim okiem Czernika raźnie wzięła się do roboty (wystawy plastyczne, kameralne i ogólnomiejskie, połączone ze zbiorowymi spotkaniami autorskimi i dyskusjami nad warsztatowymi problemami plastyki i poezji; wydawanie druków, nie przeznaczonych do sprzedaży, a publikujących obok siebie reprodukcje obrazów i grafik plastyków Koła oraz wiersze jego poetów). Niestety, wnet rozbiły Koło, wprowadzając nastrój ogólnego zniechęcenia, zabiegi członka grupy o wodzowskich ambicjach — zmierzające do usunięcia z niej jednego z najoperatywniejszych członków, którego należało, zdaniem owego plastyka, ukarać za zbyt sędziwy wiek pięćdziesięciu naówczas lat oraz... niedostatki talentu. Dodajmy, że kolega ten błysnął już niebawem jako jeden z najznakomitszych pisarzy trzydziestolecia. Takie były początki Wydawnictwa Łódzkiego, którego powstania (pomijam tu ogólnopolskie znaczenie oficyny łódzkiej) dało środowisku łódzkiemu możliwości rozwoju, bez których groziłaby mu na dłuższą metę zagłada bądź wegetacja na dalekim marginesie kultury.

Zbliżało się pięć lat od chwili, gdy prezes Czernik rozpoczynając kadencję zapoznał się z „odłogami" łódzkiego „gospodarstwa".

W ciągu pierwszych dwóch lat raczkowania WŁ pod rządami Czernika sześciu członków kandydatów dorobiło się wreszcie druku upragnionych, i to dobrych, książek, dzięki którym stali się członkami rzeczywistymi i mają dziś dobre imię w literaturze, czterech następnych poetów przygotowywało już swe debiuty wydawnicze pod kierunkiem Czernika — redaktora i doradcy. Siedmiu pisarzy od lat trzydziestych bodaj nie umiejących dopchać się do biurek redaktorskich w wydawnictwach centralnych otrzymało wreszcie swoje nowe książki, czterech przekładowców, których wydawnictwa warszawskie nie przepracowywały, sięgnęło po rdzewiejące po trosze pióra. Niebawem oficyna, której ambicje były dużo szersze niż tylko przełamanie kryzysu twórczego środowiska i które zaczęło organizować ruch poetycki na ogólnokrajową skalę zorganizowała dzięki funduszom spółdzielni ogólnopolski konkurs prozatorski. Wyniki jego przerosły najśmielsze oczekiwania organizatorów — stał się jednym z największych krajowych wydarzeń organizacyjno-literackich tamtych lat. Wprowadził na wierzchołek prozatorskiego Parnasu takich pisarzy, jak: Mach, Kabato, Radzymińska, Siekierski, Odojewski, Minkowski, a w tym gronie, i to na pierwszych pozycjach, pisarzy łódzkich, którym zamieszkiwanie na pozbawionym wydawnictwa „przedmieściu Warszawy" nie dawało możliwości ukazania Polsce czytającej skali i ogromnych możliwości swych talentów. Mam na myśli Gomolickiego i Karczewską.

Fragment szkicu „Ćwierć wieku spotkań ze Stanisławem Czernikiem".

---

* Warto by tu po latach przypomnieć, że przebieg tych uroczystości w Łodzi, ich poziom i skala, ocenione były naówczas przez Min. Kultury i Sztuki wyjątkowo wysoko i dane pozostałym województwom w kraju za przykład.

ILU NAS DO PIECZENIA CHLEBA

Dalszy ciąg ze str. 1

wieku i dużo więcej starców — oto zmiany, jakim ulegnie w ciągu najbliższych 10 lat struktura wieku ludności USA, zmiany, które będą też musiały uwzględnić w swej działalności przedsiębiorstwa amerykańskie. W wyniku tych zmian inaczej niż dziś kształtować się będzie rynek zbytu i inaczej też wyglądać będzie ludność zawodowo czynna, spośród których przedsiębiorstwa rekrutować będą swych pracowników w latach osiemdziesiątych. Tak wzajemnie się od siebie różniące spółki, jak General Electric, Merrill Lynch, AZ and T. RCA, Coca-Cola, Gillette, Federated Department Stores, a nawet czasopismo „PLAYBOY" myślą już o tym, co należy uczynić, by przygotować się do obsługi 234 mln Amerykanów, jacy stanowić będą ludność USA ok. roku 1985."

Ogólna liczba ludności USA ma — jak się przewiduje — wzrosnąć z 213,5 mln obecnie do 234 mln w 1985 — oznacza to wzrost o 9,3 proc. tj. znacznie niższy niż w poprzednim okresie dziesięcioletnim. Wynika stąd — mówi ekonomista stowarzyszenia przemysłowców Conference Board Fabian Linden — **„że po 1980 tempo wzrostu gospodarczego spadnie."**

Przy takich tendencjach rozwojowych — mówi dyrektor marketingu wydawnictwa publikującego „PLAYBOY", Herbert Maneloveg — **„trzeba dokonać odpowiedniej dyslokacji sił, by zapewnić sobie sukces na rynku".** W związku ze spadkiem liczby Amerykanów w wieku dojrzałym, stanowiących główną bazę czytelniczą tego pisma, jego redakcja ma zamiar nadać mu poważniejszy charakter, mniej fantazjując i kładąc większy nacisk na użyteczne informacje dotyczące sposobu spędzenia wakacji, lokowania oszczędności i ubierania się.

Zmiany w strukturze wielu powodują wiele innych zmian — mówi Eva E. Jacobs ekspert do spraw wydatków konsumpcyjnych Urzędu Statystyk Pracy USA — **„przynależność do grupy wieku określa dochody, rozmiary rodziny, a także to, czy jest się posiadaczem domu czy też nie."** Według najnowszych danych tego Urzędu, rodziny, których głowa należy do grupy wieku 35—44 lata mają w USA niemal takie same dochody jak rodziny, których głowa należy do grupy wieku 45—54 lat. Jednakże pierwsze z tych rodzin wydają o 16 proc. mniej niż drugie na ochronę zdrowia i inne usługi osobiste i o 21 proc. mniej na lekarstwa, ale za to o 10 proc. więcej na mięso.

Sądzę, że niezależnie od wszystkich różnic jakie nas dzielą, przytoczone opinie nie są banalne, a odwrotnie — wielce pouczające i dla nas sterujących gospodarką w sposób planowy. Chodzi przecież o dalekosiężne skutki, które przynoszą ze sobą przeobrażenia demograficzne. A uczyć się, wyciągać stosowne wnioski — zawsze warto.

No, ale teraz już najwyższy czas przejść na własne, polskie podwórko. To nas przecież najbardziej interesuje.

MIĘDZY WYŻEM I NIŻEM

Pewne liczby już tutaj padły, ale jak to bywa z bardzo złożonymi zjawiskami, nie wyczerpują one całości problemu. Prawdę też mówiąc, jest sporo niejasności, raz pada — aż za często — alarmistyczne słówko „niż", kiedy indziej znowu mówiło się o „wyżu", jako jednej z... barier przyszłego rozwoju. Nie ma więc co zwlekać, lecz trzeba sięgnąć do liczb, by w ten sposób uporządkować nieco naszą wiedzę o tym ilu nas jest i będzie „do pieczenia chleba".

Krótko: w minionym pięcioleciu ludność naszego kraju zwiększyła się o 1,8 mln osób co oznaczało, że średnioroczne tempo wzrostu w tej dziedzinie „ocierało" się o 0,9 proc. czyli, że było wyższe o 0,2 proc. od tego jakie odnotowaliśmy w latach 1966—1970. Nic dziwnego, że i tutaj wyprzedziliśmy czas; demografowie omylili się o pół roku. Akurat o tyle wcześniej w stosunku do prognoz staliśmy się narodem 34 milionowym.

Ogólna liczba urodzeń żywych w latach 1971—1975 była niemal o 0,4 mln większa aniżeli w poprzedniej pięciolatce 1966—1970 i wyniosła 3 mln.

Bez wdawania się tutaj w pewne szczegóły można więc powiedzieć, że takie kształtowanie się zjawisk demograficznych w naszym kraju w ostatnich pięciu latach zahamował w pewnym stopniu proces starzenia się naszego społeczeństwa. Jesteśmy narodem młodym, a jak o tym mówią dane statystyczne 52 proc. obywateli PRL urodziło się po II wojnie światowej. Nie oznacza to wcale, byśmy byli wolni od zjawisk, które występują, a nawet są cechą charakterystyczną dla społeczeństw wysokorozwiniętych. Tak mówiąc mam na myśli proces starzenia się ludności wyrażający się zwiększaniem udziału osób w wieku 60 i więcej lat. W przypadku Polski udział tej grupy „wiekowej" w ogólnej liczbie obywateli PRL wynosi aktualnie ok. 14 proc. i nadal się zwiększa choć już nie w tak szybkim tempie jak to miało miejsce w latach 1966—1970. Można przewidywać, że udział osób, które mają 60 i więcej lat, będzie się przez pewien czas dalej zmniejszał, ale z pewnością jest to zjawisko przejściowe, mające swoje źródła w tym, że w ten „ przedział" wchodzą właśnie roczniki, które poniosły największe straty w okresie minionej wojny. Później, krzywa skoczy w górę, by gdzieś około roku 1990 dojść do 17—18 proc. udziału osób mających 60 i więcej lat.

Tzw. współczynnikiem urodzeń oraz przyrostu naturalnego wyprzedzaliśmy w latach 1971—1975 większość krajów europejskich. Wyższą stopę urodzeń odnotowały tylko Rumunia, Hiszpania i Czechosłowacja, natomiast wyższy przyrost naturalny jedynie Rumunia i Hiszpania.

W taki to sposób dają o sobie znać pewne procesy ogólnorozwojowe: postęp uzyskany a i przewidywany w dziedzinie warunków materialnych życia, unowocześnienie zdecydowanej większości naszych zakładów przemysłowych przez co i praca stała się lżejsza, postępy w ochronie zdrowia, rozwój świadczeń socjalnych, skracanie czasu pracy. Chociaż z drugiej strony... niestety, ustępujemy jeszcze w niektórych dziedzinach wielu krajom europejskim mając dla przykładu wysoki wskaźnik umieralności mężczyzn w tzw. „sile wieku" co jak twierdzą wtajemniczeni wywodzi się z nie dość... higienicznego jeszcze trybu życia i sporej liczby wypadków przy pracy.

I tak to mniej więcej wyglądało, kiedy robiliśmy bilans otwarcia wkraczając w nową pięciolatkę 1976—1980. Stąd też jeszcze bardziej interesujące mogą być przewidywania demograficzne, jako że wzrost ludności i rozwój społeczno-gospodarczy pozostają ze sobą w ścisłej współzależności, a zmiany w strukturze wieku — dla przykładu — mają swoje bardzo poważne konsekwencje choćby w kształtowaniu się potrzeb a rozmaite produkty i usługi, co też nie może być obojętne naszym planistom i nie tylko im.

Naturalnie mamy już pewne prognozy na ten właśnie temat. Mówią one, że Polska osiągnie bądź nawet przekroczy granice 36 milionów mieszkańców do roku 1980. Co 80—85 sekund (w latach 1971—1975 co 105 sekund) przybywać nam będzie nowy obywatel, zajdą też — jak to przewiduje w swoich obliczeniach doc. dr Stefan Klonowicz — dosyć istotne zmiany w strukturze wieku ludności naszego kraju: zmniejszy się, ale chyba nieznacznie, liczebność najmłodszych obywateli naszego kraju (w wieku od 0 do 19 lat), ale i tak będzie ich o jakieś 2 mln więcej aniżeli w roku 1970. O ponad milion będzie więcej osób w wieku 40—59 lat i o 0,5 mln w wieku 60 i więcej lat.

Z takich prognoz powinny być wyciągnięte oczywiście odpowiednie wnioski dla praktyki naszego życia ekonomicznego i społecznego, przy czym choć nie musimy się kłopotać takimi problemami, które trapią... amerykański miesięcznik dla panów — „Playboy", to jednak sporo innych rezultatów wynikających z analizy „Business Week" warte jest zastanowienia. Na przyszłość — oczywiście.

Fot. Archiwum

POSUCHA CZY NADMIAR?

Na dziś — mamy jednak inne nieco zmartwienia choć też wywodzą się one z demograficznego podwórka. Można bowiem bez obawy o popełnienie większego błędu powiedzieć, że rok 1975 zamknął okres jeśli nie obfitości, to przynajmniej dostatku rąk do pracy w naszym kraju. Przypomnijmy, że w latach 1971—1975 przybyło nam 1,8 mln osób. Natomiast mimo zarysowującego się ponownie dynamizmu demograficznego — co mam nadzieję udokumentowaliśmy liczbami, bieżące pięciolecie, zadania w dziedzinie rozwoju społeczno-ekonomicznego, program stopniowego zmniejszania czasu pracy, uelastycznienia bariery wieku upoważniającego do przejścia na emeryturę — to wszystko nakazuje bardzo dużą ostrożność w gospodarowaniu siłą roboczą. Chodzi po prostu o nic innego, jak o bardziej racjonalne wykorzystanie ludzkich rąk, umiejętności i talentów dla celów, które chcemy i powinniśmy osiągnąć. Dobrym tutaj przykładem jest w tym względzie nasze miasto Łódź, dla którego borykanie się z problemami demograficznymi nie stanowi najmniejszej nowości. Łódź to przecież od dawna ośrodek o najniższym przyroście naturalnym, a równocześnie miasto bardzo dynamicznie rozwijające swój potencjał wytwórczy wraz z zapleczem naukowym, bazą kultralną i oświatową.

W latach 1976—1980 zasoby pracy wzrosną w Łodzi zaledwie o 34 tys. osób i osiągną w roku 1980 ok. 471 tys. osób, w pięć lat później — 478 tys., a w roku 1990 — ok. 487 tys. Taka jest przynajmniej prognoza Instytutu Pracy i Spraw Socjalnych w Łodzi.

Oczywiście można w tym miejscu zauważyć, że w nie tak znowu dawnej przeszłości zapotrzebowanie na ręce zdolne do podjęcia pracy było dopingowane rozmiarem działalności inwestycyjnej, budową wielu nowych i to dużych zakładów przemysłowych — w samej tylko Łodzi powstało ich w minionym 5-leciu ponad 30, a setka uległa modernizacji niemal od fundamentów. Bieżąca pięciolatka, choć też charakteryzuje się wielkimi środkami na rozwój przemysłu, to jednak znacznie większy nacisk kładzie na unowocześnienie technologii, automatyzację procesów wytwórczych, co za tym idzie — mogłoby się wydawać w pewnym stopniu może relatywnie zmniejszyć nasze kłopoty na rynku pracy.

Osobiście — nie sądzę, że tak właśnie będzie.

Po pierwsze musimy sobie zdawać sprawę z tego, że łódzki potencjał wytwórczy w dalszym ciągu wykazuje się jeszcze trącącymi „myszką" rozwiązaniami może nie tyle technicznymi co organizacyjnymi. Daje się również zauważyć pewna tendencja do rozwijania ośrodków zarządzania, programowania, placówek naukowo-badawczych — instytutów i laboratoriów, a wreszcie bazy łódzkich wyższych uczelni. Mamy także spory jeszcze dług, który trzeba spłacić w dziedzinie tak istotnej dla prawidłowego funkcjonowania wysoko rozwiniętego społeczeństwa, wielkoprzemysłowego ośrodka, a mianowicie sfery możliwie najszerzej rozumianych usług. Jest to problem tym bardziej złożony i trudny do rozwiązania w naszych obecnych warunkach demograficznych, bowiem gdzie jak gdzie, ale w usługach wiele świadczeń nie może się najzwyczajniej obejść bez dopływu nowych zasobów pracy, po prostu — ludzi. Kto wie, czy w aktualnej sytuacji właśnie Łódź, nie jest predestynowana — na ile to jest oczywiście możliwe do wypracowania nowego, bardziej racjonalnie działającego modelu rynku pracy — to z jednej strony, a z drugiej — wykorzystanie doświadczeń nauki dla polepszenia organizacji metod wytwarzania, administrowania, świadczenia usług. Chodzi — ogólnie mówiąc — o wypracowanie i praktyczne zastosowanie takich rozwiązań, które gwarantowałyby najlepsze społecznie i ekonomicznie spożytkowanie rąk i umiejętności, jakich w stosunku do potrzeb zbyt wiele nie posiadamy. Połączyliśmy te dwa elementy nieprzypadkowo, bowiem wydaje się, że szczególnie w tym drugim przypadku nie jest jeszcze najlepiej. A przecież potrzebna jest nam każda para rąk, kwalifikacje i umiejętności pomnażające „bochenek chleba" tworzony w zakładach, na budowach — wszędzie tam, gdzie wre praca. Potrzebne jest nam wreszcie kompleksowe rozeznanie procesów społecznych i ekonomicznych, które mogą wystąpić w ślad takiej właśnie sytuacji demograficznej i takiej nowocześnie traktowanej polityki w dziedzinie zatrudnienia.

Jest więc czym się martwić, nad czym łamać głowę. Nawet wtedy, kiedy demografowie zapowiadają, że nieco później przyjdzie „wyż".

KRZYSZTOF POGORZELEC

JANUSZ MARCHEWA

SZKIC DO PORTRETU POLONISTY

Zamiast motta:
„My, Polacy, znamy się najlepiej na medycynie, ekonomii i nauczaniu".
(wzięte z życia)

To, że większość rodaków zna się w miarę dobrze na nauczaniu, przekonują mnie dwa zestawy słów, które krążą między podekscytowanym nadawcą a odbiorcą:

— Ja pana (panią) nauczę!
— Obyś cudze dzieci uczył!

Jednakże realizacja tych pobożnych życzeń i obietnic wymaga odpowiednich kwalifikacji. A z tym już są kłopoty... Na szczęście nauka ma odmienne zdanie na temat kwalifikacji i uzdolnień statystycznego Polaka, który, owszem, mógłby być jednocześnie ekonomistą, lekarzem i nauczycielem, gdyby nie musiał ciągle zmywać talerzy, trzepać dywanów i wynosić śmieci do zsypu.

Nie ulega wątpliwości, że zawód nauczyciela wymaga całego szeregu złożonych umiejętności, określonej dyspozycji psychicznej, a do tego wszystkiego trudno ocenić jego pracę, ponieważ jest to zawód podlegający często surowej ocenie społeczeństwa. Zawężanie problematyki do spraw osobowości nauczyciela polonisty wynika z rangi jego przedmiotu, którego realizacja sprowadza się do **wyrabiania sprawności myślenia, kształtowania postaw moralnych, budzenia szacunku dla tradycji** itd., itd. Na żadnym innym przedmiocie nauczania nie realizuje się w toku pracy lekcyjnej i pozalekcyjnej tyle aspektów wychowawczych, kształcących i poznawczych, co na lekcji języka polskiego.

Nic też dziwnego, że spora część literatury metodycznej jest poświęcona osobowości nauczyciela polonisty, co logicznie wynika z twierdzenia, iż dobry program może zrealizować tylko dobry nauczyciel. Rozwinięcie zależności pomiędzy specyfiką przedmiotu nauczania języka polskiego a nauczycielem musi doprowadzić do sformułowania modelu jego osobowości. Zbiór idealnych cech osobowości polonisty, ustalony jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym przez nieżyjącego już profesora **Zenona Klemensiewicza**, zachował do dziś swą aktualność. Takie cechy jak: **żywa i twórcza postawa, sprawność językowa, wszechstronne wykształcenie, znalezienie wspólnego języka z młodzieżą, polot i fantazja, wrażliwość estetyczna** — stanowią wręcz istotę zawodu nauczyciela polonisty.

Ciekawym wyrazem zmian w tym zakresie mogą być wyniki ankiety przeprowadzonej w 1975 roku wśród uczniów IV klasy liceów ogólnokształcących w Warszawie. Chodziło o ustalenie modelu polonisty w opinii uczniów. Jakie cechy zatem typowano przede wszystkim?

Atmosfera na lekcji, możliwość swobodnego wypowiadania się — 37 proc. odpowiedzi.
Wiedza merytoryczna — 35 proc.
Lojalność, tolerancja wobec uczniów — 34 proc.
Uzdolnienia aktorskie, recytatorskie — 34 proc.
Życzliwość, przychylność — 19 proc.
Metoda pracy — 19 proc.
Erudycja — 18 proc.
Światopogląd — 17 proc.
Wiedza z psychologii i pedagogiki — 14 proc.
Język jasny, prosty, zrozumiała wymowa — 13 proc.
Zaangażowanie przedmiotem — 11 proc.
Umiejętność nawiązania kontaktu z młodzieżą 10 proc.

Uderzająca celność młodzieży w konkretyzowaniu idealnych cech nauczyciela polonisty dowodzi, jak uważnie i systematycznie uczniowie obserwują swojego nauczyciela. Wśród 12 cech, aż 60 proc. stanowią umiejętności i nawyki. Wynika to z faktu, iż brak tych właściwości jest najszybciej zauważany przez młodzież, co w konsekwencji prowadzi do zmniejszenia stopnia efektywności nauczania. Przyszłość nauczania języka polskiego zamyka się w formule **kształcenia wychowawczego**. Potrzebne są zatem poprawki do wzorca osobowości polonisty, które wynikają z przygotowywanej wersji programu nauczania w dziesięciolatce.

Z programu wynika, że ma to być doskonały pedagog, któremu nie jest obcy kunszt nauczania, aby wyrabiać u uczniów postawy dydaktyczne i życiowe. Poza tym stanie przed nim trudność harmonijnego połączenia kilku elementów z dziedziny nauki o literaturze, współczesności, wybranych problemów z kultury w jedną całość kształcącą, poznawczą i wychowawczą.

Dalszy ciąg na str. 6

OŚWIATA

SZKIC DO PORTRETU POLONISTY

Dalszy ciąg ze str. 5

Wiele problemów czekających na polonistów ma rozwiązać system dokształcania i kształcenia kadr. Jednakże należałoby możliwie najszybciej dotrzeć do źródeł wielu trudności, aby w przyszłości stworzyć poloniście warunki pracy i wypoczynku.

Sądzę, że nie tylko **W. Podgórski** w **Życiu Warszawy"** (z 10. VI. 1975 r.) zauważył, że nauczyciel polonista jest:

„(...) bez wątpienia najbardziej eksploatowany. Wystarczy sięgnąć po kalendarz imprez i uroczystości szkolnych, aby zrozumieć ile dodatkowych zobowiązań spada na barki „szkolnego kulturalno-oświatowego", jak polonistę nazywają niekiedy koledzy, profesorowie innych przedmiotów. Dodajmy do tego prowadzenie zajęć w kółkach zainteresowań (żywe słowo, teatr, film), wspomnijmy o opiece nad zespołem redagującym gazetkę szkolną, a wtedy resztę czasu w bilansie dziennym polonisty wypełni poprawianie prac pisemnych i przygotowanie lekcji na dzień następny".

Kiedy zatem ta **„panienka (pani, pan) do wszystkiego"** ma czas na nieustanny pościg za współczesnością i ciągłe doskonalenie swoich umiejętności, czy polonista nie ma prawa do rodzinnego szczęścia? Nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że jeżeli 40 uczniów napisze w ciągu roku szkolnego tylko 5 klasówek to nauczyciel musi poprawić rocznie 200 prac. Jeżeli uczy średnio w pięciu klasach, to liczba poprawionych prac wzrasta do 1000. Ponieważ jedną pracę pisemną sprawdza się około 15 minut, zatem w sumie daje to **250 godzin, czyli 1/3 całego roku szkolnego.** Bagatela!

Nie sposób pominąć jeszcze innych spraw związanych z kontrolą i oceną pracy polonisty. Odwieczny problem obiektywności oceny występuje w tym przypadku w całej rozciągłości, gdyż na dobrą sprawę efekty pracy polonisty są zauważalne dopiero po kilku czy nawet kilkunastu latach i dlatego aktualny system oceniania musi ulec zmianie.

Rozbudowany system kontroli pracy nauczyciela powoduje powstawanie szeregu szkodliwych napięć psychicznych (feminizacja zawodu!), wpływa na zmniejszenie efektów jego pracy. Dyrektor np. jakiegoś dużego zespołu szkół, który musi zrealizować roczny plan hospitacji wyrażający się liczbą 80, a czasem i większą, musi z konieczności poświęcić dużo czasu na dokształcanie się w metodyce nauczania kilkunastu przedmiotów, co ze zrozumiałych względów powoduje zachwianie równowagi pomiędzy ilością a jakością. Zachodzi zatem konieczność przesunięcia obowiązku hospitowania nauczycieli przez dyrektorów szkół na wizytatorów metodycznych, którzy mieliby do pomocy określoną liczbę instruktorów. W konsekwencji częstotliwość kontaktu nauczyciela z wizytatorem nie zamykałaby się liczbą 2, co bez wątpienia wpłynęłoby na rozwój warsztatu pracy zarówno wizytatora jak i nauczyciela: zaoszczędzony czas dyrektora szkoły można by zainwestować z ogromnym zyskiem w poprawę organizacji kierowania szkołą oraz większą dbałość o unowocześnianie jej profilu.

Trudno doprawdy zrozumieć, dlaczego rozwiązany przez uczniów test dydaktyczny ma być jednym z koniecznych elementów oceny pracy nauczyciela, skoro zostawia się nauczycielowi 24 godziny na skonstruowanie takiej formy kontroli wiedzy ucznia. Farsowość takiej sytuacji podkreśla fakt, iż potrzeba kilku miesięcy solidnej pracy, aby skonstruować test dydaktyczny, jeżeli ma on być obiektywną formą kontroli i oceny ucznia a także i nauczyciela.

Pokonanie bariery biurokratycznej (np. zakup pomocy naukowych), ciążącej na zawodzie nauczyciela siły tradycji, stworzenie atmosfery życzliwości społeczeństwa dla spraw nauczania powinno przynieść spodziewane efekty. I nie jest to sprawą samej tylko szkoły. **Jest to problem społeczny.** Dlatego nie rozumiem poglądu **J. Wołczyka,** który w książce „Nowa rola nauczyciela w epoce kształcenia ustawicznego" (Warszawa 1974 str 27) napisał:

„(...) publiczna krytyka nauczyciela w prasie, radiu i telewizji powinna być zakazana".

Konstruktywna krytyka może jedynie pomóc, ponieważ, jak słusznie zauważył prof. **Juliusz Kleiner,** dobry program, dobry podręcznik i zły nauczyciel to kombinacje znacznie gorsze niż zły program, zły podręcznik i dobry nauczyciel. Mamy już wstępną wersję dobrego programu, powinniśmy mieć dobre podręczniki, ale to nie wystarczy, jeśli nie będziemy mieć dobrego nauczyciela.

JANUSZ MARCHEWA

HIPOTEZY I

NAOCZNY ŚWIADEK

Bezpośrednim obserwatorem lądowania Kosmitów był prorok Ezechyjel, a jego relacja zawarta jest w Biblii. Dopiero jednak obecnie stało się możliwe właściwe odczytanie i zinterpretowanie tego, co w swym opisie prorok przekazał.

Wielu ludzi czyta książki **Ericha von Dänikena** z przymrużeniem oka. Z podobnym nastawieniem zaczął czytać **„Wspomnienia z przeszłości"** („Chariots of the Gods?") i **Josef F. Blumrich.** Dla niego, inżyniera specjalizującego się od roku 1934 w budowaniu rakiet, książki tego typu były zajmującą rozrywką. Uśmiech nie schodził mu z ust, aż do czasu, gdy doszedł do miejsca, gdzie Däniken cytuje proroka Ezechyjela, twierdząc że ten widział statek kosmiczny. Josef F. Blumrich postanowił, z Biblią w ręku, wykazać Dänikenowi całą bzdurność jego pomysłów. Po dokładnym przestudiowaniu odpowiednich fragmentów Biblii Blumrich gruntownie zmienił zdanie.

W książce **„The Spaceships of Ezekiel"** Blumrich zgadza się z wersją Dänikena i szczegółowo opisuje dane techniczne statku kosmicznego oglądanego przez proroka. Statek taki można już dziś zbudować z wyjątkiem napędzającego go reaktora atomowego. J. F. Blumrich uważa, że około sześć stuleci p.n.e. Ezechyjel był świadkiem odwiedzin przedstawicieli pozaziemskiej cywilizacji, która wówczas tylko o kilka dziesiątków lat wyprzedzała dzisiejszy poziom naszej techniki.

J. F. Blumrich, na podstawie analizy tekstu biblijnego proroka, napisał książkę, która jest przeznaczona dla przeciętnego czytelnika, i która jednocześnie jest dziełem naukowym. Zawiera ona 30-stronicowy dodatek z odpowiednimi ścisłymi wyliczeniami technicznymi oraz wszystkimi danymi, które każdy znający się na rzeczy może sprawdzić, jeśli ma na to czas i ochotę. Tak więc wywodów Blumricha nie można potraktować jako wyssanej z palca bzdury — można z nim polemizować jedynie przytaczając rzeczowe, naukowo udokumentowane argumenty.

„Ezechyjel — pisze J. F. Blumrich **— którego dotychczasowe doświadczenie nie zawierało w sobie nic, co mogłoby mu posłużyć jako punkt odniesienia do jego opisów, musiał często uciekać się do opisów metaforycznych, aby móc w ogóle opisać to, co oglądał. Te metaforyczne opisy są mylące i tajemnicze dopóty, dopóki nie ma się pojęcia o leżącej u ich podłoża rzeczywistości. Jednak z chwilą, gdy zdołamy przebrnąć przez metafory, natychmiast ukazuje się naszym oczom wyjątkowo jasna i pozbawiona sprzeczności relacja.**

Wydaje się, że Ezechyjel domyślił się prawdy stosunkowo wcześnie. Ponieważ jego kontakty z pojazdami kosmicznymi rozciągały się na przestrzeni ponad dwudziestu lat, daje nam doskonałą okazję do wielokrotnej obserwacji określonego typu statku kosmicznego a nie tylko jednorazowego lądowania.

Prorok odznaczał się wyjątkowym darem obserwacji widocznym z opisów budowy i funkcji tego typu pojazdu kosmicznego jak też z opisów istot żywych i wydarzeń bezpośrednio z nimi związanych.

Ezechyjel rozpoczyna swą relację opisem końcowej fazy lotu statku po jego zejściu z orbity kołowej wokół Ziemi i następującym po tym opisem lądowania. Narracja ta uzupełniona jest opisem głównych elementów pojazdu. Rzeczą godną podkreślenia jest też to, że w opisie ostatniego spotkania z Kosmitami prorok wyraźnie stwierdza, że statek, który widzi, jest tym samym, który zobaczył dwadzieścia lat wcześniej.

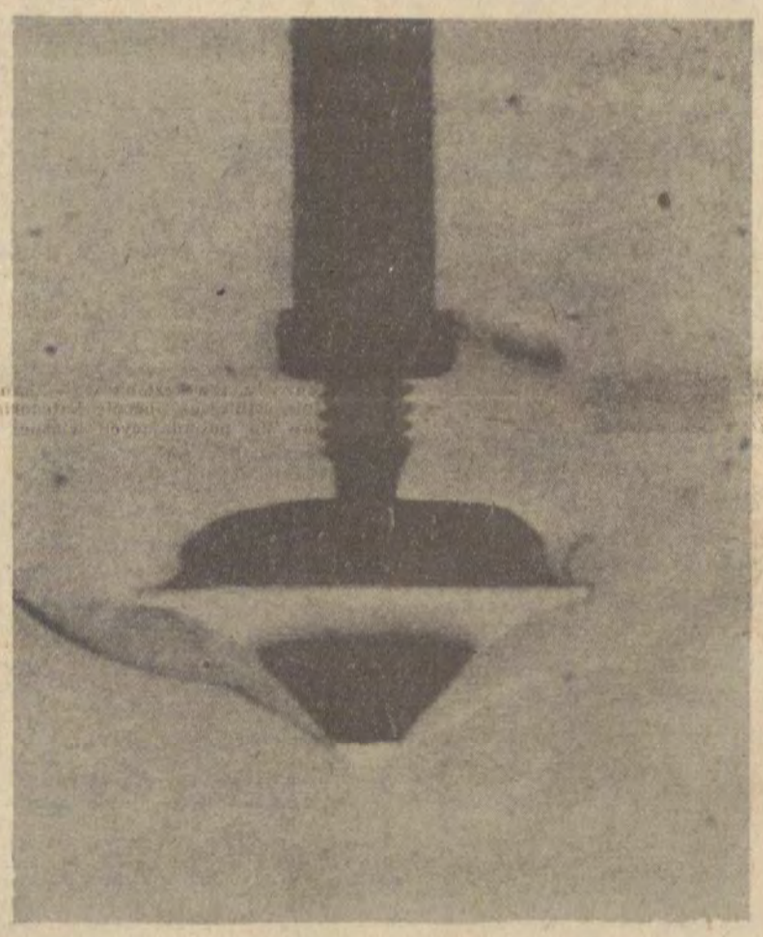

Langley Research Centrr, NASA. Dolna część korpusu modelu w tunelu aerodynamicznym

Ezechyjel wspomina również o dowódcach pojazdu kosmicznego, słucha ich rozmów, obserwuje ich ruchy a w jednym wypadku jest świadkiem zdarzenia, w którym bierze udział załoga naziemna przywołana przez dowódcę. Prorok także uczestniczył w lotach statku: dwukrotnie leci do świątyń, których położenie i przeznaczenie są dotąd nie rozwiązaną zagadką.

Dalsze i coraz bardziej szczegółowe badania i porównania wykazały, że opisy Ezechyjela są zadziwiająco dokładne. Tak więc, po raz pierwszy stało się możliwe uwolnienie starożytnego opisu pojazdów kosmicznych od zaciemniających obraz nieistotności i przetransponowanie go na język inżynierów.

Uzyskane wyniki dają nam obraz statku kosmicznego, który jest bez wątpienia nie tylko wykonalny pod względem technicznym, lecz jest również opisy Ezechyjela są zadziwiająco dozadań i celów, które miał realizować. Rzeczą zadziwiającą jest to, że objawia nam się technika, której nawet najbardziej szczytowe osiągnięcia nie są czymś fantastycznym, technika, która leży prawie w zasięgu naszych obecnych możliwości i która, jak z tego wynika, jest tylko niewiele bardziej zaawansowana niż nasza współczesna. Co więcej, uzyskane wyniki wskazują na to, że statek kosmiczny działał w połączeniu ze statkiem macierzystym parkującym na orbicie okołoziemskiej.

Oczywiście, wyniki moich badań ostro kontrastują z interpretacjami tekstu proroka przeprowadzanymi przez wielu gorliwych i uczonych mężów w minionych wiekach. Musimy jednakże pamiętać o fakcie oczywistym, to jest o tym, że w ciągu całej dotychczasowej historii maszyny latające i rakiety istnieją dopiero od niedawna. Dlatego też interpretacja tekstu pod tym kątem była z góry wykluczona. Z konieczności, wyjaśnianie zagadkowych stwierdzeń Ezechyjela musiało pójść w jednym możliwym kierunku — w kierunku interpretacji religijnej, a w szczególności, mistycznej.

Należy ponadto z naciskiem podkreślić, że uwzględnienie czynnika technicznego w interpretacji pism proroka stało się możliwe dopiero w grudniu 1964 roku i to pomimo całego postępu wiedzy o ostatnich dziesięcioleciach. W tym to właśnie czasie Roger A. Anderson, jeden z głównych inżynierów NASA w Langley Research Center, opublikował artykuł na temat technologii konstrukcji, w którym opisał opracowany przez siebie idealny kształt statku nadającego się do lotów na planety posiadające atmosferę. I właśnie taki kształt posiada korpus opisywanego przez Ezechyjela statku. Bez tej wiedzy, posiadającej zasadnicze znaczenie, nie bylibyśmy nawet obecnie w stanie zinterpretować tekstu proroka jako opisu technicznego.

Jak dotąd, jedynym miarodajnym źródłem informacji o przeszłości jest archeologia. Jej najważniejszym polem działania są okolice ludzkich siedzib. Z drugiej strony, jak nam wiadomo z naszych własnych doświadczeń, prawdopodobieństwo katastrofy lub przymusowego lądowania w siedlisku ludzkim lub jego pobliżu jest niesłychanie małe. Nawet jednak w wypadku zaistnienia takiego nieprawdopodobnego zdarzenia, szczątki pojazdu byłyby szybko uprzątnięte, a zniszczone budynki naprawione. Prawdą jest, że być może udało by się znaleźć w glebie kawałki metalu z korpusu statku, czy też części wyposażenia elektronicznego, o ile wszystko to nie uległo korozji. Jednakże prawdopodobieństwo, że archeolog uda się z łopatą, młotkiem i pędzlem dokładnie na miejsce katastrofy jest wiele razy mniejsze niż prawdopodobieństwo samej katastrofy. Dlatego też jak dotąd, mała jest nadzieja na odkrycie szczątków statku w granicach siedlisk ludzkich. Jednakże, prawdziwa, naukowa archeologia liczy sobie dopiero kilkadziesiąt lat...

Inny aspekt badań dotyczy przekonania, że pozaziemscy przybysze — z zasadniczych powodów — musieliby mieć inny wygląd niż my, a ich wyposażenie winno być inne niż wszystko, czego używamy. Aprioryczna tendencja przypisywania cywilizacji pozaziemskiej wymyślnych, tajemniczych i niezwykłych kształtów i możliwości ignoruje odmienną tezę, według której istnienie podobieństwa jest bardziej prawdopodobne niż istnienie zasadniczych różnic.

W obecnych czasach jakakolwiek wzmianka o wizycie z Kosmosu natychmiast wywołuje pytanie: „Skąd i w jaki sposób?" Jest to pytanie naturalne, gdyż ostatecznie odpowiedź na nie ma znaczenie ogólnoświatowe. Nie znamy jednakże tej odpowiedzi. Jak dotąd, problemy z nią związane są zbyt liczne i zbyt poważne, abyśmy podjęli się ich pełnego rozwiązania. Takie stanowisko często może prowadzić do wniosku, który w swej najprostszej formie sprowadza się do następującego stwierdzenia: „Nie wiemy skąd przybyli, a więc, nie mogli byli w ogóle przybyć".

Sam Ezechyjel wskazuje nam jaki obrać kierunek. Opisał on pojazd kosmiczny tak dokładnie, że możemy potwierdzić autentyczność jego opisu przy pomocy liczb i naszej wiedzy technicznej. Dzięki temu kluczowemu dokumentowi możemy też rozpocząć poszukiwania dowodów na poparcie naszej koncepcji w innych źródłach. Dlatego też możemy sprostować stanowisko sceptyków i stwierdzić: **„Byli tu, a więc musieli skądś przybyć".**

Josef F. Blumrich jest z wykształcenia inżynierem zatrudnionym na jednym z kierowniczych stanowisk w NASA. Urodził się w Austrii, w Steyr, w roku 1913. Do Stanów Zjednoczonych przybył w roku 1959 i od tego też czasu zajmuje się zagadnieniami związanymi z konstrukcją pojazdów kosmicznych. Jest autorem wielu patentów oraz współprojektantem rakiety Saturn V. W roku 1972 został odznaczony przez NASA medalem za wybitne zasługi. Jest też autorem wielu publikacji naukowych.

Opracował:
BOGDAN KRAKOWIAN

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI
ANDRZEJ ZALEWSKI

ARTYSTYCZNE AMBICJE

KWIECIEŃ 1975 — Brązowe Pegazy podczas VIII Przeglądu Filmów o Sztuce otrzymują: „Świat Memlinga w trzech odsłonach" K. Muchy i „Aleksander Gierymski — W altanie" St. Grabowskiego

CZERWIEC 1975 — Jury Klubu Krytyki Filmowej SDP wyraża uznanie Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi za nowe kierunki poszukiwań w filmach zaprezentowanych na XV Ogólnopolskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych. Srebrnym Lajkonikiem „Darek Dziedziech" J. Żukowskiej.

PAŹDZIERNIK 1975 — Spośród czterech Nagród Głównych przyznanych na V Ogólnopolskim Przeglądzie Filmów Społeczno-Politycznych dwie otrzymują twórcy WFO: P. Andrejew za filmy „Środek drogi" i „Taki układ" oraz L. Skrzydło za „Interpretację opowieści biblijnych". Zestaw filmów zrealizowanych w WFO zostaje wyróżniony.

Ubiegły rok był dla łódzkiej **Wytwórni Filmów Oświatowych** wyjątkowo udany. Nie tyle może pod względem liczby filmów nagrodzonych, ile rangi tych nagród. Można z pełnym przekonaniem powiedzieć, że nareszcie działalność wytwórni zdobyła pełne uznanie na forum ogólnokrajowym. Rzecz jasna osiągnięcia WFO — te potwierdzane w oficjalnych werdyktach — nie ograniczają się do wyżej wymienionych. Jednakże tradycja corocznych podsumowań i bilansów, jakiej z reguły hołdują piszący, ustąpić tu musi miejsca widzeniu akcentującemu generalne linie ewolucyjne produkcji filmowej, wybiegające w przyszłość i nie dające się zamknąć w ramach sztywnej chronologii. Do takiego spojrzenia na rok 1975 skłania charakter przemian, jakie się dokonały. Daje się bowiem zaobserwować w działalności wytwórni szereg zjawisk rokujących nadzieje na najbliższe lata. Pozwalają one na próbę analizy nie pozostającą w społecznej próżni.

Uświadomienie sobie faktu tradycyjnie nieznacznego zainteresowania krytyki i publicystyki filmowej problemami filmu krótkiego, pozwala na dostrzeżenie najbardziej uchwytnych przejawów zmian w samej „otoczce" wokół dokonań WFO. Tym bardziej więc zwraca uwagę zainteresowanie działalnością i planami wytwórni, którego szczególnie dobitnymi przykładami są artykuły zamieszczane w prasie filmowej i kulturalno-społecznej, a zwłaszcza sposób sformułowania werdyktu jury Klubu Krytyki Filmowej podczas festiwalu krakowskiego.

Wypowiedź Naczelnego Redaktora wytwórni — **dr Macieja Łukowskiego,** wskazuje na dopływ młodych kadr, jako na jedną z istotnych przyczyn opisywanego stanu rzeczy. **Piotr Andrejew, Tadeusz Junak, Piotr Szulkin, Wojciech Wiszniewski, Władysław Wasilewski** — to twórcy, którzy aczkolwiek od niedawna współpracują z WFO, mają już na swoim koncie szereg interesujących dokonań. Jeszcze raz potwierdza się więc znana prawda, że młodzi ludzie o jeszcze niekonwencjonalnym, nieschematycznym widzeniu świata, mogą wnieść spore inicjatywy, często na przekór zastarzałym, zrutynizowanym formom twórczości. To między innymi ich zasługa, że znacznie zmieniło się tradycyjne ujęcie filmu oświatowego; przestał on już być bowiem wyłącznie sfilmowaną encyklopedią, podręcznym słowniczkiem haseł i terminów, a w coraz większym stopniu staje się nośnikiem określonych postaw ideowych, poznawczych i estetycznych. Tendencje w filmie oświatowym polegające na próbie przełamywania dawnych schematów prezentacji zagadnień, wykształcone przez doświadczenia filmu fabularnego i artystyczne ambicje filmu o sztuce — owocują obecnie w twórczości filmowej dotyczącej problematyki społecznej, światopoglądowej, politycznej. Przekazanie pewnej liczby naukowych informacji drogą filmową, przestaje być wyłącznym punktem docelowym działalności reżysera. Wymagania stawiane filmowi oświatowemu stają się wyższe. Film coraz częściej bywa rozliczany także w kategoriach wartości artystycznych, których dopiero funkcją stają się wartości poznawcze. Z ubiegłorocznego dorobku wytwórni wymienić by można całą grupę utworów, o cechach dających sprowadzić je do zasygnalizowanego tu modelu. Filmy **Piotra Andrejewa**, „Wanda Gościmińska — włókniarka" **Wojciecha Wiszniewskiego** — to tylko te najbardziej znane i nagradzane.

Wydaje się jednak, że ubiegłoroczne sukcesy WFO zagwarantowane zostały w bardzo poważnym stopniu przez jej świadomą politykę, zmierzającą do konfrontacji dokonań z różnorodnymi środowiskami społecznymi widzów. Wytwórnia nie zamyka swej działalności w granicach wyznaczonych przez status administracyjny. Regularna współpraca z PWSFTviT, podjęta od niedawna, służyć ma infiltracji na teren WFO myśli artystycznej reprezentowanej przez tamtejsze środowisko. Kontakty z Łódzkim Domem Kultury zaowocowały między innymi pokazem wieloczęściowej „Biblii" **Leszka Skrzydły** i filmów nagrodzonych na festiwalach: krakowskim i zakopiańskim. Dobrą tradycją stały się już comiesięczne prezentacje nowości odbywane w sali kinowej Biblioteki im. Waryńskiego.

Plany wytwórni zakładają także docieranie twórców ze swoimi filmami do zakładów pracy. Jest to sprawa szczególnie istotna, biorąc pod uwagę fakt, że środowisko robotnicze jak dotąd nie zgłasza zbyt żywego zainteresowania tą dziedziną twórczości. Należy zatem wypracować metody, które pozwoliłyby przełamać ten stan rzeczy. A staje się to możliwe właśnie teraz, gdy problematyka społeczna — a więc nie stwarzająca barier tematycznych — stanowi coraz bardziej ważną część produkcji.

Próby wyjścia z filmami na zewnątrz mają także inne przyczyny. Zestawienie dokonań z oczekiwaniami odbiorcy jest warunkiem właściwego ukierunkowania planów na lata następne. Stąd właśnie socjologiczne badania sondażowe, którym poddane zostają różne grupy widzów tego samego utworu. Wiąże się to zarazem z całym zespołem problemów wynikających z potrzeb filmu szkolnego. Potrzeb określanych już choćby przez powstanie nowych przedmiotów nauczania i planowaną gruntowną reformę szkolnictwa. Odwieczny już brak zintegrowania działalności **Ministerstwa Oświaty i Wychowania** z planami WFO (polegający przede wszystkim na zadziwiającym ubóstwie potrzeb ministerstwa) powoduje, że wytwórnia zmuszona była do podjęcia własnej próby uporządkowania tych spraw. Opracowany więc został perspektywiczny plan produkcji filmów dla potrzeb szkoły, w którym wzięte zostały pod uwagę przedmioty, jakich nauczanie trudno wyobrazić sobie bez pomocy filmu.

Takim nowym przedmiotem jest np. wychowanie w rodzinie socjalistycznej. WFO wychodzi naprzeciw potrzebom związanym z jego realizacją, przede wszystkim cyklem **„Nim powstanie rodzina"**, operującym dodatkowo następującymi poddziałami: **„Alfabet seksu"** i **„Erotyka i kultura"**. W zakres tematyki wejdą tu realizowane obecnie filmy: „Kobieta samotna" **A. Bogusławskiego**, „Marta" **J. Janickiego**, „Tak" **M. Koterskiego**. Ale kwestia rodziny i życia w rodzinie jest częścią daleko ogólniejszego problemu. Wypływa ona wszak ze świadomości członków rodziny, postaw przez nich reprezentowanych. Dlatego też tak dużą uwagę zwraca się na normy kształtujące mentalność młodzieży, która to problematyka podjęta została w cyklu **„Młodzież a świadomość"**.

Do nurtu twórczości oświatowej, tradycyjnie już bogatej w osiągnięcia prawdziwie wybitne, należy w WFO **film o sztuce**. Bieżący rok będzie stanowił kontynuację długofalowej realizacji cykli tematycznych obejmujących szeroki zestaw zagadnień związanych nie jedynie ze sztukami plastycznymi. Tematyka filmu o sztuce obejmuje w planach wytwórni zarówno dokumentację zagadnień historycznych **(„Tradycje kultury polskiej")**, jak i najnowsze kierunki w sztuce **(„Polska plastyka współczesna", „Kierunki i tendencje w sztuce XX wieku")**. Na szczególne uznanie zasługuje realizacja cykli o dziełach sztuki najbardziej narażonych na zniszczenie, przez co wyjątkowo domagających się filmowej rejestracji. Mamy tu na myśli filmy o często unikalnych już zabytkach architektury drewnianej (między innymi filmy **„Stare mosty"**, **„Polski dworek"** i ukończone już **„Drewniane cerkiewki"** W. Wasilewskiego). Tematyczne dopełnienie tego cyklu stanowić będą filmy z działu **„Z tradycji rzemiosł i sztuki ludowej"**.

Nie sposób wymienić wszystkich grup tematycznych, a tym bardziej pokusić się o bardziej szczegółowe zestawienie włączonych w nie zagadnień. Jednak o prawdziwej dociekliwości i rozległości planów wytwórni świadczą cykle dotyczące już nie tyle takich czy innych szczegółowych dziedzin ludzkiej działalności, ale wręcz elementarnych racji naszego myślenia i egzystencji. Należą do nich: **„Nauka źródłem poznania"**, **„Dociekać prawdy"** oraz **„Człowiek i jego działanie"**. Cykle te niejako w trzech punktach ujmują konieczność przechodzenia od naukowo zweryfikowanych przeświadczeń o rzeczywistości do praktycznego jej przekształcenia. W pierwszym z nich zwrócą prawdopodobnie uwagę utwory: „Oczy dla niewidomych" **Z. Skoniecznego**, „Sen" **W. Rollny** oraz „Życie i odżywianie" **J. Arkusza**. Drugi — „Dociekać prawdy" — grupuje filmy eksplikujące tezy współczesnego naukowego religioznawstwa. Prawdziwym „przebojem" roku był tu oczywiście biblijny cykl **Leszka Skrzydły** (w przygotowaniu są już następne odcinki), oprócz niego warto jednak zauważyć także „Koran" **P. Studzińskiego**, „Arianie" **St. Janickiego** oraz „Czarownice" **T. Zygadły**.

Osobliwością w pracy wytwórni jest konsekwentne realizowanie tematyki przyrodniczej w cyklu **„W kręgu naturalnego środowiska"**. Osobliwością, ponieważ placówka łódzka jest jedną z nielicznych, które kultywują tę problematykę. Mieliśmy już okazję w ciepłych słowach wyrażać się o **przyrodniczych filmach** WFO; miejmy więc nadzieję, że równie wartościowe będą przygotowywane utwory.

Jeżeli do wymienionych cykli dodamy jeszcze filmy o tematyce historycznej, etnograficzne, filmy dla dzieci, utwory poświęcone zagadnieniom filmu, teatru i literatury — nie otrzymamy jeszcze pełnego obrazu zamierzeń.

Lecz nie to stanowić ma cel omówień podobnego typu, zwłaszcza że większość tematów wymaga osobnego potraktowania. Chodzi tu raczej o zasygnalizowanie dwu podstawowych faktów, świadczących o przemianach, jakie się już dokonały i będą kontynuowane w przyszłości. A jest to z jednej strony zmiana wewnątrz samej twórczości — kształtowanie się nowych modeli filmu oświatowego, z drugiej zaś poszerzenie zainteresowań tematycznych, szczególnie na problematykę światopoglądową i społeczną. Obydwa te zjawiska pozostają ze sobą w ścisłym związku, wzajemnie z siebie wynikają. Artystyczne ambicje filmu oświatowego decydują o jego humanizacji. Dążenie do sztuki zbiega się z poszukiwaniem wiedzy. I to jest chyba właściwa droga.

ZGODA NA KAŁUŻYŃSKIEGO

Dziś słów kilka nie o filmie lecz o tym, co wokół niego czyli o zmartwieniach recenzenta, który zmożon grypą nie może pójść do kina. Recenzent czy felietonista telewizyjny tych kłopotów nie miewa. Tematy przychodzą do niego same, może je przyjąć gościnnie bądź nacisnąwszy klawisz telewizora brutalnie wypłoszyć spod swego dach-. Recenzent filmowy sam składa wizyty w przybytkach sztuki zwanych kinami. Unieruchomiony chorobą, jeśli tylko może, cóż czyni? oczywiście to, co i inni — nadrabia lekturowe zaległości i ogląda telewizję. Z uporem maniaka czyta np. od deski do deski bieżące i nie przeczytane dotąd z braku czasu czasopisma, bo to w chorobie lektura znakomita, nie męcząca, ułatwiająca przerwy. Patrzy w telewizor i ogląda filmy, nawet filmowe premiery. Nie mu jednak do tego... to podwórko kolegi. Tak nakazuje polski obyczaj recenzencki mimo woli zgodny z tezą głównego ideologa elektronicznej ery w sztuce, pana Marshalla McLuhana, iż „środek przekazu jest przekazem", a więc i film w telewizorze to nie to, co film w kinie.

Wtorkowy wieczór w Telewizji Polskiej i wspomniane wyżej lektury w brutalny dość sposób uzmysłowiły jedną prawdę. Nie ma w naszej telewizji poważnych rozmów o sztuce filmowej, króluje w niej minoderyjny fason co gorzej funkcjonujących klubów filmowych, okupują je ciągle ci sami „gadacze" filmowi, utrzymujący od lat ten sam styl mówienia. Jego główna cecha to beznamiętno-informacyjny, pełen patosu i banałów ton wypowiedzi, dominujący w prelekcjach poprzedzających Kino Arcydzieł czy Kino Interesujących Filmów, prelekcjach w dodatku ostatnio zmonopolizowanych. Gorzej, gdyż ten sam ton, podręcznikowej bez mała relacji a nie dyskusji, dane nam jest słyszeć w czymś, co ma być rozmową — dyskusją o filmie. Pozostaje to w jawnym kontraście z tym, co telewizja pokazuje, jako że bogactwo jej filmowego repertuaru w zakresie prezentacji filmowej klasyki a i telewizyjnych premier jest w ostatnich czasach godne naszego uznania. W czym więc tkwi przyczyna tego, że odpowiedzialne redakcje TVP nie potrafią nadać swemu filmowemu repertuarowi właściwej oprawy? — może właśnie w monopolizacji i w niedostrzeganiu faktu, iż rutyna zabija oryginalność, może w tym, że mówienie o filmie obciążone jest zupełnie nieuzasadnioną potrzebą płaskiej popularyzacji i ograniczone prawem zabierania głosu li tylko przez ludzi z kręgu krytyki filmowej.

Że można o sztuce filmowej mówić inaczej, ciekawie, żywo i twórczo przekonał mnie właśnie wtorkowy wieczór w telewizji, kiedy to w programie „Czworobok" czterej panowie nie z krytyczno-filmowej branży dyskutowali problem filmowej i teatralnej adaptacji. Okazało się, że i o filmie można w TV mówić mądrze i kontrowersyjnie, że można telewidza zmusić do intelektualnej aktywności, gdy do rozważenia przedstawi mu się argumenty przedstawiane przez osobowości tak różne jak Artur Sandauer, Adam Hanuszkiewicz czy Janusz Wilhelmi.

Profesor Sandauer był zresztą bohaterem wtorkowego wieczoru, gdyż godzinę wcześniej w „Loży" w II programie mówił wielce ciekawe rzeczy o Witoldzie Gombrowiczu i jego „Ślubie". I tu pora przejść do następnej uwagi. Nie należę do wielbicieli osobowości pana Witolda Fillera, muszę mu jednak przyznać, że zna swój fach, że umiał w naszej telewizji wywalczyć sobie program, który skupia uwagę miłośników teatru. Cechą główną „Loży" jest rzecz, w mym przekonaniu, niebagatelna, jest to jeden z nielicznych programów naszej telewizji, w którym nie czuje się pośpiechu, nerwowego patrzenia na zegarek, bo trzeba kończyć, gdyż w kolejce czeka już kolega z filmem, sportem lub czymś innym. W „Loży" panuje spokój, jest w niej czas na długie rozmowy i prezentacje, rozmowy te dzięki temu mają swój sens, mobilizują do myślenia i co tu mówić — uczą, uczą wiedzy o teatrze. Marzy mi się taka filmowa „Loża", żeby i o filmie serio, niekoniecznie klubowo mówić w niej można było i żeby prawo głosu w niej mieli ci, co naprawdę mają coś do powiedzenia. I tak np. chętnie w niej słuchałabym Krzysztofa Zanussiego, który nie tylko piękne filmy robi, lecz także mądrze i pięknie o filmie umie mówić. Dlaczego akurat Zanussiego? ano dlatego, że również owego wtorkowego telewizyjnego wieczoru oglądając go, z żalem myślałam o tym, że szkoda, iż telewizja występ jego ogranicza do udziału w programie „XYZ".

W przerwach między „Lożą", „Czworobokiem" i „XYZ-etem" czytałam gazety, odkrywając ze zdumieniem, że prasową gwiazdą ostatnich tygodni jest również telewizyjny gwiazdor czyli Zygmunt Kałużyński. Jego nazwisko prasa polska przez wszystkie przypadki odmienia z okazji dyskusji o jego występie w programie „Sam na sam", którego bohaterem był Jerzy Antczak. Dyskusja dotyczy „sposobu bycia" pana Zygmunta. KTT swoje stanowisko wyraził najprecyzyjniej: „Kałużyński jest propozycją telewizji indywidualności, programu złożonego z ostro zarysowanych figur, postaci wyraźnych, określonych, ekspresyjnych". Choć akurat w tego typu indywidualności, jaką reprezentuje Zygmunt Kałużyński nie gustuję najbardziej, stawiam także na niego, nie mogę inaczej, jeśli choć trochę prawdy jest w tym, co wyżej napisałam.

EWA NURCZYŃSKA

LISTY

„NASZ BLIŹNI — KOWALSKI"

Dla mnie Kowalski też jest bliźnim, podobnie jak skonkretyzowany Wiesław Jażdżyński w artykule „Nasz bliźni — Kowalski" z 7 numeru Odgłosów. Doskonałe fragmenty wyjęte z petycji „przedszkolaków", czy też z katalogu „Desy" nie przyćmią faktu bezlitosnego znęcania się nad Mikołajem Rejem. Wszystko zaczęło się od dwuwiersza:

(...) A niechaj narodowie wżdy postronni znają,
Iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają.

Mikołaj Rej, Do tego co czytał w. 11—12

Pierwszy cios zadał Rejowi „specjalista od staropolszczyzny" Ludwik Hieronim Morstin. Morstin, autor dramatu zatytułowanego „Polacy nie gęsi". Mając na względzie cel wychowawczy, zapomniał, że tytuł jego dramatu przypomina pewien fragment z „Wesela" Stanisława Wyspiańskiego:

(...) Miałeś chamie złoty...

Obydwa cytaty, ponieważ są wyrwane z kontekstu, nic nie znaczą. W przypadku Reja, począwszy od Morstina, zwykło się interpretować „gęsi" jako gatunek drobiu. Tymczasem żmudne badania profesora Juliana Krzyżanowskiego doprowadziły do nieoczekiwanych rezultatów: „gęsi" w dwuwierszu Reja są formą orzymiotnikową a nie rzeczownikową! W kontekście słów Reja oznacza to, że:

„(...) Polacy powinni posługiwać się swoim językiem, a nie gęsim bełkotem".

Niestety, nie wiedzą o tym językoznawcy w stopniu docenta, o czym przekonują mnie sążniste artykuły opublikowane w „Polityce" z 1 lutego 1976 roku pod wspólnym tytułem „Polacy nie gęsi". Nie wiedział o tym także Wiesław Jażdżyński który dla odmiany jest literatem a nie językoznawcą. Czas położyć kres temu znęcaniu się nad domowym otactwem, gdyż w każdej chwili grozi nam interwencja Ligi Ochrony Przyrody. A jeżeli jeszcze chcemy korzystać z Reja mając na względzie szacunek dla polszczyzny, to bezpieczniej posłużyć się cytatem z przedmowy do „Wizerunku własnego żywota człowieka poczciwego":

(...) niedbalszych ludzi nie masz jako Polacy, co by się w swym języku mniej kochali.

A zatem „uczmy się języków — polskiego również".

T.R.

„GDZIE POWSTANIE STOLICA KRÓTKIEGO METRAŻU"

Red. Henryk Pawiak na łamach „Głosu Robotniczego" z 19.II. 76 r. „grzmiał" pod moim adresem, że nie doceniam (w art. „Gdzie powstanie stolica krótkiego metrażu" — „Odgłosy") wkładu „Głosu Robotniczego" w propagowaniu łódzkiego krótkiego metrażu.

Ani przez chwilę nie ośmieliłbym się nie docenić poczynań „Głosu Robotniczego" w tym zakresie a szczególnie konsekwentnego zajmowania się tymi zagadnieniami przez red. Małgorzatę Karbowiak. Chylę czoła przed tymi inicjatywami. W artykule moim mówiłem o całkiem innej sprawie o pointowaniu pojedynczych wydarzeń artystycznych przez prasę codzienną, na zasadzie sansowania, tworzenia krytycznej dyskusji merytorycznej dotyczącej także pojedynczych tytułów. Oczywiście jest to zadanie trudne w przypadku krótkiego metrażu, ale dla zrealizowania założeń „Łodzi filmowej", (o której tak optymistycznie i konsekwentnie pisze red. M. Karbowiak) chyba niezbędne.

Mój artykuł nie był napisany po to aby urazić red. H. Pawlaka, ale by kontynuować, prowadzoną przecież i przez „Głos Robotniczy" sprawę atmosfery towarzyszącej wydarzeniom filmowym na terenie Łodzi. A o to przecież chodzi zapewne i mnie i red. H. Pawlakowi.

dr MACIEJ ŁUKOWSKI
Naczelny Redaktor WFO

„MAŁE KINO"

Byliśmy (niżej podpisani) wiernymi czytelnikami całych „Odgłosów". Czytamy obecnie tylko 99,9 proc. treści tygodnika, pomijając procent składający się na twórczość „Małe kino". Próbowaliśmy wycinać... Guzik! Niszczy się druk po drugiej stronie. Próbowaliśmy niezauważać... Klapa! Zanadto rzuca się w oczy.

Wobec stale postępującej impotencji twórczej Andrzeja Czekalskiego, częstokroć powtarzania czyli odgrzewania starych kotletów, proponujemy wyżej wymienionemu:

a. używanie środków pobudzających potencję,

b. „Duvadilan", lek cholernie dobry na rozkurcze porodowe,

c. konsultacje z Jackiem Bromskim,

d. zrezygnowanie z „Małego kina" i odbycie wycieczki rowerowej wraz z trenerem Bogdą Madej, co podniesie sprawność fizyczna nadszarpniętą dźwiganiem jarzma ciężkich dowcipów,

e. przejście do „Estrady Łódzkiej".

Piszemy to z nadzieją, że nie będzie to wołaniem w puszczy.

Z braterskim „pa, pa, całusów 102"
Andrzej Pilat
Zbigniew Stasiak

MOTORYZACJA

ŚMIERCI AUTA NIE BĘDZIE

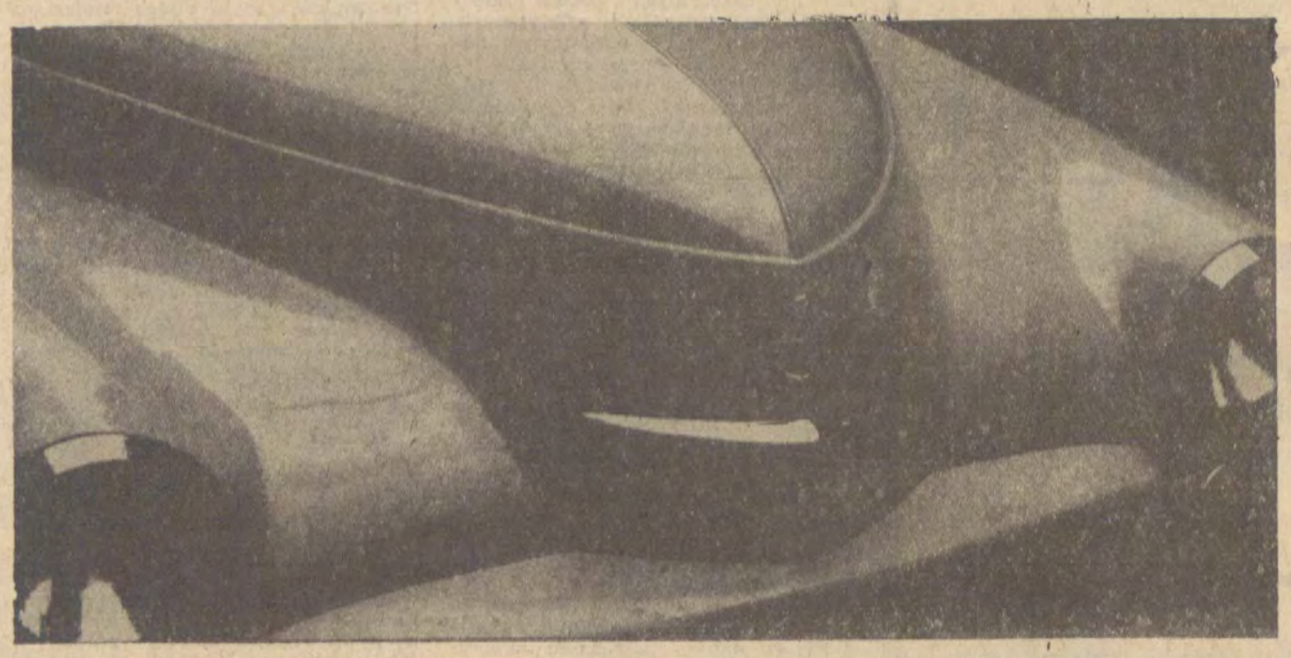

Foto: J. Mendychowski

Dalszy ciąg ze str. 1

wacjach. Zresztą nie wszędzie z tą samą miarką. Zależy. Faktem jest, że u nas popyt wciąż podaż wyprzedza. Przedpłaty na samochody łódzki „Polmozbyt" pobiera już na długie niezmiernie terminy. A potencjalnych samochodziarzy wcale nie ubywa. W roku, który minął z krajowych taśm montażowych zjechało 175 000 samochodów osobowych. Za parę lat spłynie ich na rynek 300 000. Może nawet więcej. I prawdopodobnie tych kółek dla wszystkich też jeszcze nie starczy. Krąg ludzi, którzy wóz będą mogli sobie zafundować wybitnie się przez te lata poszerzy. Oszczędnościowe konta PKO spęcznieją.

Już dziś spoczywa na tych kontach 251 mld złotych.

To odłożony popyt, to pieniądz, który czeka swej godziny.

Wielki popyt ten ma jednak plus rzeczywisty, że popędza produkcję jak biczem do coraz szybszego galopu.

Wielka znów podaż przy niskim popycie hamuje i prowadzi do produkcyjnego zastoju.

Exemplum — kraje Europy zachodniej. Cóż z tego, że samochodowe salony lśnią lakierem i chromem, co z tego że zza szyby mizdrzą się do przechodniów wypucowane reflektory firm co bardziej znamienitych, skoro klientów jakby wymiotło. Pusto w tych salonach jak we wspaniałych gotyckich katedrach północnej Francji podczas wielkiej mszy niedzielnej. Wprawdzie dr Okita z Japonii podnosi ostrzegawczo palec do góry i upomina, że „już wkrótce postęp będzie się mierzyć nie bogactwem narodu tylko szczęściem społeczeństwa", ale nie bardzo chce się wierzyć, że szczęśliwy jest wielce, kto smakiem się obywa i szybę tylko liże. Różnie się na te kwestie spogląda. Czy to aby nie Rousseau oświadczył, że szczęśliwy jest „kto ma dobre konto bankowe, dobrego kucharza i dobry żołądek?"

Europa na kołach.

Europa za kierownicą.

Obywatele, nadchodzą bycze czasy wielkiego żarcia, wielkiej frajdy i wielkich samochodów. Rozwiało się. Rok, który minął należy do najczarniejszych w historii zachodnioeuropejskiej motoryzacji. Poszło w dół. Tak gwałtowny to był ześlizg po oblodzonej recesją szosie, że nie wszystkie hamulce w porę zadziałały. Po takiej to poszło stromiźnie, że bez katastrof obejść już się nie mogło. Począwszy od angielskiego „Midlanu" po włoskie „Mezzegiorno", wszędzie fabryki samochodów pracują na półobrotach. Możliwości mają ogromne. To fakt. Mogłyby wypuszczać po 12 mln samochodów rocznie.

Tylko komu wkręcić tyle aut po tej nowej już cenie?

W jednym ze styczniowych numerów londyńskiego „Times'a" podano, że koszty utrzymania wzrosły w Anglii od 1973 r. dwukrotnie. Przeciętny samochodziarz wydaje 40 funtów miesięcznie, zatem przeszło 80 dolarów na to co się zwie „keep the car on the road", by wóz w ogóle przejechał swoją normalną porcję kilometrów. Koszty amortyzacji są z tego rachunku wyłączone. Za drogi to więc interes, przeto i popyt na samochody wyraźnie się obniżył. Te renomowane koncerny ogarnął swoisty kanibalizm. „Peugeot" połknął „Citroena", szwedzki „Volvo" połknął holenderski „DAF", brytyjski „Leyland" uratował przed śmiercią głodową potężny zastrzyk państwowych subwencji. Prześwietny „Volkswagen" przez tyle lat tak dumnie obnoszący się po wszystkich kontynentach, zamknął ostatnie dwa lata łącznym deficytem 450 mln dolarów.

Rynek stał się raptem wąski, kapryśny i wybredny. Klient dziesięć razy przymierzy nim się wreszcie z marką rozstanie.

Może to generalny odwrót od tego „monstrum" co śmierdzi i żre drogą benzynę niczym nienażarte jakieś bydle? Jak retro to retro. Już dyliżanse były lepsze. Jak retro to na łono natury tak zachwalanej przez czcigodnego pana Rousseau. Człowiek zawsze za tym tęskni, czego sam nie ma. W Hamburgu i Monachium w wielkim znowu stanęła poważaniu poczciwa „Milchfrau". Proszę panią, to mleko prosto od krowy, pachnie wunderbar... W supermarktach góry leżą świeżych jaj, lecz oszczędne niby „Hausfrauen" wolą nieco przepłacić, byle dostać jaja od „Eiermana", który właśnie przyjechał ze wsi z koszykiem w ręku. Bo to całkiem inne jaja, proszę pana, prawie się czuje jak wieje od nich tym czystym wiejskim powietrzem.

Więc to może sentyment do dawnych dobrych czasów kiedy to Europa stanowiła pępek tego świata a Paryż był pępkiem tego pępka, spowodował odwrót Europejczyków od auta? Jak ten czas leci. Rodzą się nowe potęgi gospodarcze, punkty ciężkości przesuwają się na inne kontynenty. Może by więc postęp schwytać na lasso mody retro, bo bieg do przodu obu Ameryk, krajów arabskich, dalekiej Azji dziwnie sędziwej Europie nie wychodzi na zdrowie. Rzućmy klątwę na auto, tak będzie najlepiej. Jest źle. Już się o tym zapomniało, że ludność miejska w USA przewyższyła ludność wiejską dopiero w 1920 r. Już się o tym zapomniało, że kiedy Paryż kichnął, to cały świat sięgał po chusteczkę do nosa.

Konik zamiast auta?

Tylko bez przesady. Europejczycy na zachód od Łeby są raczej sentymentów wyzbyci. Powiedziałbym, że w dużej mierze to zimni kalkulatorzy, z nawyku wyrachowani, oszczędni, żeby nie rzec przeraźliwie skąpi. Nikt się u nich za darmo nie pożywi. Zapomnijmy o tym. Ale też nikt tam wyżej tego paska skakać nie próbuje. To już by było shocking, to już by graniczyło ze zdziczeniem moralnym i wariactwem absolutnym, gdyby ktoś przy średnich zarobkach równych naszym 4000 złotych miesięcznie wyprawiał wesele na sto osób. I to wesele ja tobie dam, takie w „Halce" przy tłumie wyfrakowanych kelnerów, przy bębnach i piszczałkach. Wariat czy co? Odbiło mu? Może to jakiś facet dziedzicznie obciążony?

Zastaw się, a postaw się.

Taki numer tam nie przejdzie. Co innego w mieście Łodzi. Biesiadników moc, zalani w pestkę weselnicy wykupują całe lokale. Jak popijać to do upadłego. Jak się bawić to tak — żeby wnuczęta pamiętały.

Ci inni Europejczycy wyżej tego kijka skakać nie próbują. Naród tam liczy, kalkuluje, przekłada tego węża z jednej kieszeni do kieszeni drugiej. Ja mam czas, ja poczekam, może w końcu te piekielne koncerny pospuszczają z tonu, a na razie starczy mi ten grat, którym już jeżdżę szósty sezon. Nie pali się. Rzeczywiście, koncerny chcąc wyjść na swoje, podniosły w ostatnim roku ceny na auta w samej tylko Francji o 30 proc. Niewielki „Peugeot 104" kosztuje dziś w Paryżu 4700 dolarów. „Fiat 128" zdrożał we Włoszech dwukrotnie i trzeba zań wyłożyć te 3530 dolarów. Długo by wyliczać. Koncerny tłumaczą — robocizna zdrożała, surowce podrożały, więc jakimże cudem auta miałyby potanieć?

Niby logika w tym jest, lecz rynek reaguje na podwyżki po swojemu.

Rynek zmniejsza zapotrzebowanie. Popyt wtedy spada. A jak popyt leci na łeb i szyję, to i producent musi się do nowej sytuacji dostosować i odpowiednio obroty maszyn przyhamować. Zmniejszenie zaś produkcji to ileś tam tysięcy robotników na bruku. Bezrobotny nowego auta raczej nie kupuje. Więc rynek jeszcze bardziej się kurczy. Więc produkcja jeszcze bardziej spada. Ta spirala działa z precyzją i niezawodnością przeznaczenia. Czyżby zatem kwadratura koła?

Wells kiedyś napisał — adopt or perish, przystosuj się albo sczeźniesz.

Otóż to, auto musi się do nowych warunków dostosować. Fascynacja samochodem zaczyna przemijać. Klienci są inni. Stali się trzeźwi, opanowani, dmuchają na zimno. Chrom i nikiel już do mało kogo przemawia. Wielka szybkość to jeszcze nie wszystko. Klient nie goni za luksusem, nie upatruje już w aucie symbolu swej pozycji społecznej. Szuka się trwałości, taniości przy względnej jednak wygodzie. Tygodnik „Time" jest zdania, że te nowe tendencje można by określić metaforycznie — Mężczyzna nie szuka dzisiaj miss piękności o sterczącym biuście i niepokojąco długich nogach, tylko szuka żony odpowiedzialnej i gospodarnej.

Ideałem stał się wóz rodzinny o żelaznej wytrzymałości, który może jeździć wolno, musi jednak dozować benzynę jak aptekarz lekarstwo i nie zachodzić rdzą już po dwóch sezonach.

Takie wozy wcześniej lub później się pojawią. Odwrót od auta? Owszem, taki odwrót się notuje, ale jest to odwrót nie od auta jako takiego, tylko od luksusu, drożyzny, szastania się na prestiż.

Śmierci auta nie będzie.

Tak jak nie będzie śmierci ponaddźwiękowego samolotu „Concorde". Mężczyzna musi czegoś dosiadać. Kiedyś dosiadał rumaka, teraz dosiada fiata. Kobietom też nic nie brakuje. Co drugi uczestnik samochodowych kursów w mieście Łodzi jest żeńskiego rodzaju. Jak równość, to równość. Kobiety też lubią konika dosiadać. Choć wielką jest doprawdy tajemnicą jak to się dzieje, że kobieta wciągnie na największą nogę najmniejszy z bucików, a rzadko kiedy wjedzie małym fiatem w duży garaż.

Auto jest potrzebne. I długo jeszcze nic auta nie zastąpi. Na dnie wszystkiego leży dziś czas. Szybkość się liczy, bo szybkość oszczędza czasu. Dlatego kolej pokonała dyliżans, a „Concorde" rozprawi się w perspektywie lat z amerykańskimi „Boeningami". Przelot „Concordem" z Paryża do Rio de Janeiro trwa 6 godzin 30 minut. Taka przyjemność na wysokości 18 000 metrów kosztuje 2930 dolarów. Ale na przelocie oszczędza się 6 godzin. Dla wielu czas jest czymś droższym niż dolary. Radziecki „TU-144" i anglofrancuski „Concorde" otwierają nową poniekąd erę w lotnictwie pasażerskim. Amerykanie mogą zgrzytać zębami, że dali się wyprzedzić, lecz bądźmy spokojni, rzuconą im rękawicę podejmą na pewno. Ponoć po cichu pracują nad samolotem, który byłby o 300 kilometrów szybszy od „Concorde" i robił 2800 kilometrów na godzinę.

Szybciej, szybciej... ale w powietrzu.

Bo na ziemi to już raczej wolniej. Szybkie i drogie auta wyszły z mody. Ich utrzymanie „on the road" kosztuje dziś majątek.

Więc jednak pomysł z małym fiatem zły nie był.

Maluch okazał się posunięciem dalekowzrocznym. Małe to bo małe ale jakie oszczędne.

JAN BĄBIŃSKI

Foto: Z. Walter

U PRZYJACIÓŁ

Edycja 30-tomowego wydania dzieł Fiodora Dostojewskiego przebiega zgodnie z programem ustalonym przez Komitet Redakcyjno-Wydawniczy Akademii Nauk ZSRR. W bieżącym roku zostanie zakończony druk 17 tomów obejmujących całą spuściznę beletrystyczną wielkiego klasyka rosyjskiego. Druga seria 13 tomów obejmie publicystykę, dzienniki i korespondencję pisarza. Pierwsza seria (beletrystyka) zostanie opublikowana w nakładzie 200 tys. egz., druga — w nakładzie 50 tys. Zbiorowa edycja dzieł Dostojewskiego jest wydaniem naukowym i obejmuje wszystkie pozostałe rękopisy, szkice i warianty utworów. Teksty uzupełnione zostaną obszernymi komentarzami historyczno-literackimi.

W latach władzy radzieckiej utwory F. Dostojewskiego wznawiane były przeszło 300-krotnie. W ciągu np. ostatniego 20-lecia jego książki wydane zostały w łącznym nakładzie ok. 20 mln egz. w przekładach na 25 języków ZSRR. Niektóre tytuły zostały opublikowane w 500-tysięcznym, a nawet milionowym nakładzie.

Kontynuowane są również prace badawcze nad twórczością autora „Zbrodni i kary". Np. w ostatnich 3 latach ukazało się 10 publikacji poświęconych życiu i twórczości wielkiego pisarza.

* ☆ *

Z inicjatywy berlińskiego klubu piosenki „Oktoberclub" zorganizowano w 1970 roku w NRD Festiwal Pieśni Politycznej. Festiwal ma charakter międzynarodowy, odbywa się corocznie, zaliczany jest obecnie do największych na świecie imprez tego typu. W ostatnim Festiwalu, zwanym także „Dniami czerwonej pieśni", wzięli udział znani wykonawcy ze Związku Radzieckiego, Grecji, Portugalii, Wielkiej Brytanii, Angoli, Chile. W sumie ponad 200 pieśniarzy i twórców piosenek reprezentujących 30 państw. Polską piosenkę na Festiwalu reprezentowała grupa muzyczna GEM i młoda piosenkarka — Krystyna Gizowska. Występ polskich wykonawców spotkał się z gorącym przyjęciem międzynarodowej publiczności. Główną imprezą Festiwalu był koncert p.n. „Front Jedności", po którym otwarto „bazar polityczny" — liczne stoiska z plakatami, płytami, ulotkami, książkami etc. Dochód z tej imprezy przekazano na fundusz solidarności z walczącym narodem Chile. Bogaty program festiwalowy obejmował również seminarium warsztatowe oraz spotkania w 20 zakładach przemysłowych Berlina z młodzieżowym aktywem robotniczym, koncerty improwizowane w halach fabrycznych itp.

* ☆ *

W Hawanie ogłoszono wyniki tegorocznego, 17 konkursu literackiego zorganizowanego przez „Casa de las Americas". 34-osobowe jury złożone z przedstawicieli 17 krajów oceniło 608 prac, z których 16 nagrodzono i zakwalifikowano do opublikowania w dorocznej kolekcji nagród „Domu Ameryk". Po trzy nagrody zdobyli autorzy kubańscy, argentyńscy i kolumbijscy, pozostałe przypadły pisarzom z Barbados, Chile, Gujany, Jamajki, Francji, Meksyku i Puerto Rico. Organizowany przez „Casa de las Americas" konkurs jest, jak widać z powyższych liczb, imprezą niezwykle popularną wśród twórców krajów iberoamerykańskich, spełniającą ogromną rolę kulturotwórczą.

* ☆ *

Ponad 600 tysięcy członków liczy działające na Ukrainie Towarzystwo Miłośników Książki. W republikańskim klubie Towarzystwa w Kijowie rozpoczęły prace: sekcja d.s. popularyzacji literatury wojenno-patriotycznej, grafiki książkowej i ekslibrisów, poezji. Program działalności Towarzystwa przewiduje liczne spotkania z twórcami i działaczami kultury, wybitnymi kolekcjonerami, znawcami sztuki edytorskiej.

* ☆ *

W Kalininie otwarto Muzeum Michaiła Sałtykowa-Szczedrina. Placówkę tę zorganizowano dla uczczenia przypadającej w styczniu br. 150 rocznicy urodzin wielkiego satyryka. Muzeum mieści się w domu nad brzegiem Wołgi, w którym Sałtykow-Szczedrin mieszkał w latach 1860—62, gdzie napisał szereg swoich utworów. Ekspozycja muzealna gromadzi rzadkie dokumenty epoki, rękopisy oraz wczesne wydania utworów Szczedrina.

WINNI O BRUDNYCH RĘKACH

Sensacyjna sprawa rozstrzelania 14 brytyjskich najemników w Angoli przez ich brytyjskich współtowarzyszy wywołała szok w Anglii i oburzenie na całym świecie. Werbunek najemników, szeroko rozreklamowany przez Zachodnią propagandę jako akcja w obronie „wolnego świata", zakończył się nie tylko fiaskiem, ale także ogromnym skandalem. Wstrząsająca historia rozstrzelania angielskich najemników pokazuje prawdziwe oblicza zarówno tych profesjonalnych zabójców, jak i inicjatorów tej operacji, którzy najęli ich za pieniądze amerykańskich podatników i wysłali do Angoli.

Oto, co na ten temat pisze prasa brytyjska:

„DAILY MAIL" (niezależny dziennik konserwatywno-liberalny)

„Ślad tej głośnej awantury prowadzi od biura werbunkowego na drugim piętrze, nad maleńką pralnią w mieście Camberley, hrabstwo Surrey, do wstrząsającej sceny zabójstwa pod palącym afrykańskim słońcem. A ludzie, którzy w Camberley zajmowali się werbowaniem najemników i wysyłaniem ich do Angoli, kłócą się teraz, obwiniając się wzajem o przywłaszczenie pieniędzy, przeznaczonych na tę operację.

...W punkcie werbunkowym w Camberley, czternastu angielskim najemnikom, o których wiadomo teraz, że rozstrzelali ich angielscy „oficerowie", oraz innym Brytyjczykom, którzy znaleźli śmierć w czasie akcji przeciwko żołnierzom Ludowego Ruchu Wyzwolenia Angoli (MPLA), sprawę przedstawiono tak: po pierwsze, jest „robótka" — powojować przeciwko komunistom, po drugie, nielicha płaca — 150 funtów szterlingów tygodniowo.

Zaproponowane pieniądze i zlepek politycznych formułek, a być może i jedno i drugie, zrobiły swoje. W angolańskim kotle znalazło się 180 Anglików, w różnym wieku i różnie przygotowanych do służby wojskowej: od małoletniego chłopca do emerytowanego amerykańskiego majora pod pięćdziesiątkę.

Wielka Brytania stała się prawdziwym centrum werbunku najemników. Jej trudności ekonomiczne i przedłużający się wzrost bezrobocia — 1.400.000 osób — uczyniły ją idealnym wprost azylem dla ciemnych indywiduów, prowadzących werbunek płatnych najemników.

Będąc pod wrażeniem klęski USA w Wietnamie, rządy zachodniego świata, z wyjątkiem władz Republiki Południowej Afryki, powstrzymywały się od jawnego zmasowanego mieszania się do wojny, która rozgorzała na afrykańskim kontynencie. Rząd Harolda Wilsona wypowiedział się przeciwko jakiemukolwiek udziałowi w tym konflikcie. Kongres USA odmówił udzielenia otwartej pomocy „niemarksistowskim ugrupowaniom" w Angoli, chociaż do końca ubiegłego roku nie podjął żadnych kroków żeby zabronić tajnego finansowania, za pośrednictwem CIA i innych państwowych organizacji USA, sił występujących przeciwko MPLA.

I oto mobilizacją najemników do walki w Angoli zajęły się ciemne indywidua w biurze werbunkowym w Camberley. Jego działalnością kierowało trzech ludzi.

Cóż to za ludzie?

Leslie Aspin — handlarz bronią i były agent MI-6 (niegdyś wydział brytyjskiego kontrwywiadu), Frank Perren — były żołnierz piechoty morskiej, John Banks — były żołnierz wojsk desantowych. Ta dobrana trójca nazwała swoją firmę „Urzędem doradców do spraw bezpieczeństwa". W liczbie emisariuszy FNLA (Narodowy Front Wyzwolenia Angoli — organizacja rozłamowa — red.), którzy przybyli do Camberley, był niejaki Norman Holl, pomocnik i mąż zaufania lidera FNLA, Holdena Roberto. Przywiózł ze sobą 12 tysięcy funtów szterlingów na rozpoczęcie akcji werbunkowej. Jednakże przedstawiciele „Urzędu doradców" twierdzą, że mieli do dyspozycji o wiele bardziej imponującą sumę, bo aż 282 tysiące funtów szterlingów.

Jak powiedzieli przedstawiciele „Urzędu doradców" pieniądze te płynęły przez pośredników amerykańskiej CIA. Major James Leonard był wymieniony jako człowiek w ambasadzie amerykańskiej w Londynie, z którym utrzymywano kontakt. Amerykańska ambasada energicznie zaprzeczyła jakoby uczestniczyła w werbowaniu najemników. Mimo to nie ma chyba podstaw by wątpić, iż większa część pieniędzy przeznaczonych na werbunek najemników rzeczywiście płynęła ze źródeł amerykańskich. Rząd prezydenta Forda przyznał, iż na cele „tajnej pomocy siłom antykomunistycznym" wydatkowano 16 i pół miliona funtów szterlingów."

„DAILY EXPRESS" (niezależny dziennik konserwatywny)

„Zwłoki 14 brytyjskich najemników, rozstrzelanych przez własny oddział w Angoli, odkryły wojska MPLA. O szczegółach tego zabójstwa opowiedział brytyjski najemnik, 29-letni Barry Freman, którego pod groźbą śmierci zmuszono do wzięcia udziału w rozstrzeliwaniu najemników.

Oto opowieść Barry Fremana: Wydarzyło się to w sobotę, 31 stycznia. Do Makele przybyli najemnicy. „Pułkownik" Callan z każdym porozmawiał i wybrał 71 ludzi z odpowiednimi kwalifikacjami wojskowymi. Nazwał ich „swoim plutonem śmierci" i przechwalał się, że pójdą za nim w ogień i w wodę. O pozostałych powiedział, że to „popychadła". Nie widział w nich żołnierzy, czy to z racji młodego wieku, czy też braku otrzaskania z wojskowym rzemiosłem; niektórzy z nich powiedzieli, że nie chcą walczyć. Callan kazał zostawić ich w Makele i trzymać pod strażą. Kazał swoim ludziom z „plutonu śmierci" zabrać od pozostałych 23 najemników wszystko, czego zapragną — obuwie, odzież, hełmy. Następnie z „plutonem śmierci" udał się na miejsce działań bojowych.

Wkrótce potem, ja i jeszcze jeden najemnik o nazwisku Cris, wróciliśmy do Makele po zaopatrzenie wojskowe. Zobaczyliśmy, że zatrzymani tutaj pod strażą najemnicy naradzają się w baraku, w którym ich zamknięto. Byli bardzo wzburzeni i Cris poradził im, żeby nie zrobili jakiegoś głupstwa.

O godzinie 10 wieczorem znów wysłano nas do Makele po prowiant i zaopatrzenie wojskowe dla chłopców na froncie. Kiedy zbliżaliśmy się do Makele powiedziałem do kierowcy — nazywano go Toni — żeby jechał ostrożniej, bo chłopcy w Makele są cholernie zdenerwowani i mogą otworzyć ogień.

Wolno wjechaliśmy do Makele i ja, stojąc w „Landrowerze", zacząłem dawać znaki latarką. Skręciliśmy za róg domu i nagle rozpętało się przed nami piekło. Strzelano do nas z karabinów, rzucano granaty, a nawet walono z przeciwpancernych rakiet. Gdy strzelanina na moment ucichła, zaczęliśmy we czwórkę wrzeszczeć na całe gardło, że jesteśmy Brytyjczykami i żeby przerwano ogień. Ale rzucono w nas jeszcze sześć granatów. Musieliśmy uciekać.

Później spotkaliśmy sierżanta, Sammy Cowlenda, i jeszcze trzech naszych chłopców. Powiedzieli nam, że biali najemnicy, których Callan kazał zamknąć w baraku pod strażą, uciekli w stronę granicy, biorąc ze sobą całe zaopatrzenie bojowe, benzynę i prowiant. Ruszyliśmy za nimi w pogoń na „Landrowerze" i już wkrótce dogoniliśmy ich. Nadjechał też Callan i powiedzieliśmy mu o całym zajściu. Wpadł w furię, kazał uciekinierom wsiąść do samochodów i wracać do Makele. W połowie drogi Callan zatrzymał ciężarówki i rozbroił ich. Kiedy dojechaliśmy do Makele, kazał im stanąć w szeregu. Naszych chłopców ustawił w dwuszeregu naprzeciwko nich. Za nami ustawił portugalskich najemników z karabinem maszynowym gotowym do strzału. Po tych przygotowaniach Callan spytał, kto wystrzelił rakiety przeciwpancerne. Jeden z najemników wystąpił z szeregu i powiedział: „Ja, sir".

Callan szybko dobył rewolweru i wystrzelił do niego dwukrotnie, trafiając go najpierw w gardło, a następnie w głowę. Było to wstrząsające widowisko. Nie wierzyliśmy własnym oczom. Potem kazał naszej czwórce, którą ostrzelali w nocy, wystąpić z szeregu i wskazując na nas rewolwerem powiedział: „A teraz wy ich zabijecie". Zwrócił się do Sama Cowlenda i rozkazał: „Wywieź ich z miasta. Wiesz co z nimi zrobić".

Sam roześmiał się głośno. Kazał nam usiąść na przednim siedzeniu „Landroweru", a najemnikom — rozebrać się i wejść do pudła ciężarówki. Nie przestając się śmiać, krzyknął do najemników: „Lepiej było powiedzieć, że chcecie walczyć, za pięć minut i tak pójdziecie na tamten świat". Biorąc do ręki miotacz granatów zwrócił się do starszego już Szkota siedzącego w ciężarówce: „Tę sztuczkę przygotowałem dla ciebie".

Odjechaliśmy około mili od Makele. Jechali za nami najemnicy portugalscy, na samochodzie ustawili ciężki karabin maszynowy dużego kalibru. Jadąc nie mogliśmy uwierzyć, że wszystko to odbywa się na jawie, że nie jest to koszmarem, ale nie mogliśmy nic zmienić. Samochody stanęły na poboczu. Najemnikom kazano wysiąść na szosę. Z samochodu wyszedłem ostatni, akurat w momencie, gdy Sam wystrzelił serię ze swego automatu, kładąc trupem trzech czy czterech najemników. Pozostali rzucili się do ucieczki. Sam otworzył do nich ogień. Kładł jednego po drugim, strzelając w nogi, w plecy. Następnie Sammy kazał naszej czwórce przeczesać niewielki parów i wykończyć wszystkich pozostałych przy życiu. Portugalscy najemnicy skierowali na nas karabin maszynowy, nie mieliśmy żadnego wyboru poza wykonaniem rozkazu. Wszyscy oni byli już w agonii. Ten, którego ja zastrzeliłem, miał odstrzeloną lewą rękę i prawą nogę; trzymały się na samych ścięgnach. Zaciął mi się karabin, ponieważ specjalnie zakręciłem regulator gazu. Wówczas Sam wycelował do mnie z automatu, rzucił mi swój pistolet i rozkazał: „Strzelaj!" Wystrzeliłem i natychmiast dostałem mdłości.

Potem kazali nam wracać do Makele; zostawiliśmy zwłoki tam, gdzie leżały. Wydaje mi się, że rozstrzelano 14 ludzi, ale nie wiem na pewno, bo ich nie liczyłem. Z 21 ludzi, którzy wraz ze mną wyjechali do Angoli, powróciło tylko 7. Być może, że ocalało jeszcze 5 ludzi, ale wszyscy pozostali na pewno zginęli.

Teraz pragnę tylko jednego — wrócić do żony i dzieci. Pojechałem do Angoli tylko dlatego, że nie mogłem znaleźć pracy. Potrzebowałem pieniędzy, a praca w Angoli obiecywała „lekkie pieniądze".

JERZY CZECH

XXV ZJAZD KPZR FORMUŁUJE DALSZY PROGRAM WALKI O POKÓJ

Jest rzeczą zrozumiałą, że w dniach **Zjazdu KPZR tematem numer 1 światowych komentarzy jest Związek Radziecki i jego polityka zagraniczna.** Wszystkie najpoważniejsze agencje i dzienniki na czołowych miejscach umieszczają doniesienia z Moskwy, zaopatrując je własnymi komentarzami. Reprezentatywna dla tonu tych publikacji jest korespondencja „Washington Post", w której podkreśla się „bezprecedensową stabilizację i spokój", jakie charakteryzują przebieg obrad najwyższego forum KPZR. Te cechy wynikają z głębokiego przekonania, że **polityka odprężenia musi być kontynuowana i przynosi światu oczywiste korzyści.**

Powszechne zainteresowanie XXV Zjazdem KPZR wypływa stąd, iż nikt nie może mieć wątpliwości co do wzrostu wpływu świata socjalistycznego na bieg wydarzeń międzynarodowych i roli, jaką spełnia w tym ZSRR.

Okres między zjazdami KPZR, a więc pięciu minionych lat, spowodował dalsze umocnienie pozycji gospodarczej i politycznej socjalistycznej wspólnoty oraz skonsolidowanie jej polityki zagranicznej. Przyniósł także zwiększenie wpływu socjalizmu na myśli i uczucia setek milionów ludzi. Wszystko to razem sprawiło, że **okres ten przejdzie do historii jako okres wielkiego sukcesu socjalizmu — zwrotu, o który zabiegały nasze kraje, w kierunku międzynarodowego odprężenia.** To zaś niesie poszanowanie pokoju i suwerenności państw oraz równoprawną między nimi współpracę.

W bilansie ostatnich pięciu lat ważną pozycję stanowią głębokie postępowe zmiany w krajach rozwijających się — arabskich, afrykańskich i azjatyckich. **Wiele z nich przyjęło orientację na socjalizm** — i na tej drodze — mimo silnej presji sił wstecznych — odnosi sukcesy. Wnoszą one równolegle znaczny, i wciąż powiększający się, wkład w naszą wspólną walkę o pokój i bezpieczeństwo narodów.

Trzecim elementem rozwoju sytuacji międzynarodowej jest przejście w stosunkach między światem socjalizmu a światem kapitalizmu od dążenia tego ostatniego do konfrontacji — do odprężenia i rozwoju współpracy.

„... I chociaż — mówił z trybuny XXV Zjazdu KPZR Leonid Breżniew — powszechny pokój nie jest bynajmniej zagwarantowany, mamy wszelkie podstawy do tego, żeby powiedzieć z przekonaniem: uzdrowienie klimatu międzynarodowego świadczy dobitnie, że osiągnięcie trwałego pokoju nie jest tylko pobożnym życzeniem, lecz w pełni realnym zadaniem".

O intencjach Związku Radzieckiego i całej socjalistycznej wspólnoty świadczy najlepiej zdanie, wypowiedziane przez sekretarza generalnego KC KPZR na zakończenie tej myśli: **„W imię rozwiązania tego zadania można i należy, nie szczędząc sił, kontynuować pracę".**

Z głębokiej wiary, że jest to jedynie słuszny kierunek rozwoju sytuacji międzynarodowej wynika dalszy, zaprezentowany przez Leonida Breżniewa, program walki o pokój i współpracę międzynarodową.

Oto jego części składowe:

— Umacniać nieustannie jedność krajów socjalistycznych i powiększać ich wkład w utrwalenie pokoju.

— Przerwać wyścig zbrojeń, a więc pomyślnie zakończyć przygotowania do nowego układu między ZSRR i USA na temat ograniczenia i redukcji zbrojeń strategicznych, zaktywizować rokowania wiedeńskie, a po ich wygaśnięciu kontynuować odprężenie militarne w Europie środkowej oraz jak najrychlej zwołać Światową Konferencję Rozbrojeniową.

— Zlikwidować istniejące jeszcze ogniska wojny, a przede wszystkim zapewnić trwały i sprawiedliwy pokój na Bliskim Wschodzie.

— Nadać odprężeniu międzynarodowemu konkretne formy wzajemnie korzystnej współpracy — wcielić w pełni w życie postanowienia Aktu Końcowego konferencji w Helsinkach.

— Zdążać do zapewnienia bezpieczeństwa w Azji.

— Stworzyć warunki do zawarcia światowego układu o niestosowaniu przemocy w stosunkach międzynarodowych.

— Uznać za jedno z najważniejszych zadań całkowitą likwidację wszelkich pozostałości systemu kolonialnego.

— Wyeliminować dyskryminację i wszelkie sztuczne bariery w handlu międzynarodowym oraz wszelkie inne formy nierówności i dyktatu na polu współpracy gospodarczej.

Przedstawiliśmy skrótowo główne zadania, wyliczone przez Leonida Breżniewa, których rozstrzygnięcia wymagają obecnie interesy pokoju i bezpieczeństwa. Ale równocześnie **Związek Radziecki przedstawił szereg szczegółowych propozycji,** które powinny ułatwić osiągnięcie tych celów. Na przykład: ZSRR w nawiązaniu do nowych propozycji, zgłoszonych w rokowaniach wiedeńskich, wyraził gotowość zredukowania na początek tylko sił zbrojnych ZSRR i USA przy zamrożeniu poziomu innych uczestników aż do drugiego etapu redukcji. Albo też: zadeklarował uczestnictwo w międzynarodowych gwarancjach bezpieczeństwa i nietykalności granic wszystkich krajów Bliskiego Wschodu — w ramach ONZ lub na innej podstawie.

Te i inne inicjatywy uważnie odnotowywane są przez komentatorów światowych i z pewnością skrupulatnie studiowane w kołach politycznych.

„Umocnienie międzynarodowego bezpieczeństwa i pokoju — mówił na XXV Zjeździe KPZR Edward Gierek — to nasz wielki i szlachetny cel. Gorąco popieramy służące temu celowi inicjatywy w kwestiach odprężenia militarnego i dotyczące innych ważnych problemów, wysunięte przez sekretarza generalnego KC KPZR, w którym narody świata widzą czołowego rzecznika odprężenia i pokojowej współpracy".

Już dziś, choć Zjazd nie zakończył swych obrad, można powiedzieć, że wniósł on do programu pokoju ważkie uzupełnienia.

W. SŁAWSKI

SPORT

Z CZEGO SIĘ CIESZYĆ?

Pierwszym powodem do radości jest sam fakt rozpoczęcia wiosennego sezonu ligowego na boiskach piłkarskich. W tym roku — przede wszystkim ze względu na zbliżającą się Olimpiadę — wcześniej niż zwykle wystartowała liga piłkarska. Nie jest to jednak — jak się okazuje — taki znów wielki ewenement, gdyż w tym samym mniej więcej czasie zwykle startują ligi piłkarskie u naszych południowych i zachodnich sąsiadów, a — jak to podkreślali sprawozdawcy — tamtejsi organizatorzy potrafią na czas przygotować boiska. A różnice klimatyczne są przecież znikome.

W ubiegłą niedzielę kibice piłki nożnej mieli wielkie święto. Czy są z przebiegu tego święta zadowoleni? Zapewne nie wszyscy i nie w jednakowym stopniu. W zasadzie pozycje startowe drużyn piłkarskich nie zostały naruszone. Niewielkie przegrupowania, jakie dokonały się po ligowej niedzieli nie zmieniły ani pozycji liderów, ani tych którzy byli na końcu tabeli. Dominowały remisy. Tylko 3 drużyny zarobiły w ubiegłą niedzielę po 2 punkty: Szombierki, Zagłębie Sosnowiec i Legia Warszawa. Kibice tych drużyn cieszyli się niewątpliwie. Kibice Stali Rzeszów, Polonii Bytom i poznańskiego Lecha nie mieli powodów do radości. Kibice drużyn pozostałych mogli być zadowoleni, że ich pupile zachowali przynajmniej po jednym punkcie.

Pierwszą kolejkę rozgrywek ligowych rundy wiosennej obserwowano przede wszystkim pod kątem formy naszych reprezentantów. Ze wszystkich boisk, gdzie reprezentantów obserwowano, płynęły zadowalające meldunki. Grają lepiej niż pozostali — i tak być powinno — ale obserwatorzy byli zgodni, że jeszcze wiele pracy czeka naszych reprezentantów. I to normalne.

Kazimierz Górski, który wybrał się na mecz Pogoni z Widzewem do Szczecina, był — jak poinformował o tym „Magazyn Sportowy" TVP — zadowolony z postawy reprezentantów, którzy wystąpili na szczecińskim boisku. Ci którzy obserwowali w Łodzi mecz ŁKS z drużyną GKS Tychy nie mieli powodów do zadowolenia. Piłkarze GKS Tychy, zmęczeni po powrocie z ciepłych krajów, grali wyraźnie na remis. Łodzianie mieli więc szansę na 2 punkty, gdyby jeszcze potrafili z tej szansy skorzystać. Ale jak to zwykle bywa — nie potrafili. Zarobili punkt tylko dlatego, że GKS Tychy punkt ten im ofiarował. Łodzianie mogli imponować ofiarnością w grze na błocie, mogli imponować pasją, z jaką atakowali bramkę GKS Tychy, ale nie potrafili umieścić piłki w tej bramce. Licznie zgromadzona publiczność na boisku ŁKS wygwizdała zgodnie obie drużyny. I choć nie jest to najlepszy zwyczaj wyrażania poglądów, trudno było dziwić się kibicom.

Ubiegła niedziela była pogodna i wielu kibiców wybrało się na mecze. Na stadionach były niemal komplety. Ale nie wszyscy mogli z różnych powodów wybrać się na zawody i wielu kibiców oczekiwało, że najciekawsze ich fragmenty zobaczą w telewizji. Z przykrością stwierdzam, że telewizja zawiodła te nadzieje. W „Sprawozdawczym Magazynie Sportowym" o godzinie 17.10 podano wyniki, Stefan Rzeszot sprezentował swoją rozmowę z trenerem kadry Kazimierzem Górskim oraz pokazał drugą połowę meczu krakowskiej Wisły z mielecką Stalą w beznamiętnej relacji redaktora Pawliczaka. Mecz nie zasługiwał na takie wyróżnienie. Kibice spodziewali się, że już o godzinie 17.10 otrzymają filmowe relacje z najciekawszych fragmentów tych spotkań, które zakończyły się około godziny 13. Te nadzieje spełniono dopiero późnym wieczorem i to nie do końca. Nie pokazano fragmentów meczu szczecińskiej Pogoni z łódzkim Widzewem, choć był to jedyny mecz, który zainteresował Kazimierza Górskiego, jako że grało tam wielu kadrowiczów i który — sądząc po wyniku, a do przerwy było 2:1 dla Widzewa — musiał być ciekawy. Sześć bramek w jednym spotkaniu — byłoby więc co pokazać.

Dużo lepiej i ciekawiej zaprezentowało się radiowe Studio S-13, które w południe przekazało informacje o zakończeniu spotkań wrocławskiego Śląska z ROW Rybnik i Szombierek ze Stalą Rzeszów, transmitując jednocześnie spotkania Legii z Lechem, ŁKS z GKS Tychy i Wisły ze Stalą Mielec. Słuchacze byli informowani na bieżąco, siedząc w pokoju wiedzieli, co się dzieje o tej porze na kilku boiskach Polski.

Telewizja nas nie uradowała. Radio bardziej. A sami piłkarze? Jak na tak wczesny początek rundy wiosennej nie było, najgorzej. Tym bardziej że na każdy mecz będziemy patrzyli z niepokojem: co się dzieje z reprezentantami? Kazimierz Górski powiedział w telewizyjnej rozmowie, że na obecnym etapie przygotowań do Montrealu cały ciężar i odpowiedzialność spoczywa na klubach i klubowych trenerach. Otrzymają oni zalecenia, jak i którego zawodnika przygotować, mają nadrobić występujące u nich braki i wyeliminować błędy. Rezultat tej pracy sprawdzi się w spotkaniu z Argentyną, a potem w następnych międzynarodowych sprawdzianach piłkarskich. Czeka nas zatem bogaty sezon. Wrażeń nie zabraknie. Oby to tylko były radosne wrażenia, obyśmy znów się nie smucili, jak po przesławnym laniu w Amsterdamie.

W najbliższą niedzielę cieszyć się będziemy łódzkimi derbami — Widzew spotyka się z ŁKS.

BOGDA MADEJ

MUZYKA

ZYGMUNT GZELLA
LORD JIM

Dramat muzyczny, jak określa swe dzieło Romuald Twardowski, wystawione ostatnio po raz pierwszy w Teatrze Wielkim jest zjawiskiem artystycznym wybitnym, budzącym wszakże liczne kontrowersje. Przedstawienie zostało owacyjnie przyjęte przez publiczność, zarazem jednak przyniosło pewne rozczarowanie tym wszystkim, którzy znają „Lorda Jima" w pierwotnej wersji powieściowej. Sam autor nie był zresztą wolny od wątpliwości. Stworzone przez niego libretto określiłbym jako wynik kompromisu pomiędzy ambitnymi aspiracjami napisania opery psychologicznej, a chęcią wyposażenia dzieła w efektowne sceny zespołowe, które zapewniłyby jej także powodzenie u mniej wyrobionej publiczności. Wyniknęło stąd wyraźne przesunięcie akcentów i ześrodkowanie uwagi na zewnętrznych wydarzeniach stanowiących tylko otoczkę prawdziwego dramatu — konfliktu moralnego, rozgrywającego się w psychice Jima. Przeżycia wewnętrzne Jima zredukowane zostały do tak wąskich ram, że w rezultacie zagubiła się gdzieś niezrównana atmosfera conradowskiej powieści i jej główna problematyka. Trudno oczywiście wymagać od kompozytora niewolniczego trzymania się pierwowzoru literackiego; Twardowski wprowadza jednakże zmiany bardziej istotne, które w zupełnie innym świetle ukazują np. ów fatalny skok z „Patny" do morza, który zaważył na całym jego życiu. W powieści dokonuje się on w przerażającej ciszy, jest niemal nieświadomy, odruchowy. W operze szalupa zostaje opuszczona na oczach złorzeczącego tłumu, a Jim musi stoczyć walkę, by móc zeskoczyć do łodzi. Rozumiem — tłum był potrzebny kompozytorowi, by wprowadzić do partytury efektowny chór, ale jakże inaczej w tej sytuacji przedstawia się psychologia postępku Jima. Podobną, dekoratywną rolę spełniają chóry i tańce w II akcie, a cenę, którą płaci się za te efekty jest spadek napięcia dramatycznego i osłabienie tempa, zwolnionego i tak w następnej, bardzo zresztą pięknej scenie lirycznej Jima i Tanili, ożywionej jedynie świetnym epizodem z Corneliusem. Abstrahując od generalnych zastrzeżeń, dotyczących ryzykownej próby przeniesienia powieści Conrada na scenę operową, trzeba jednak przyznać, że libretto Twardowskiego posiada duże walory teatralne i logikę dramatycznego rozwoju, zawiera kilka świetnych epizodów a także dobrze skonstruowanych ról.

Muzyka „Lorda Jima" nie jest stylistycznie jednorodna, co jednak nie razi, ponieważ kompozytor, korzystając z różnych technik, czy też łącząc je ze sobą — robi to ze smakiem i dużym znawstwem. Dominuje powszechnie dziś stosowany i nieco już zużyty język awangardy lat sześćdziesiątych. Muzyka nowa okazała się tu niezwykle użyteczna jako środek ilustracji, choć można by mieć zastrzeżenia do zbytniego eksponowania perkusji (podobnie jak w inscenizacji nadużywa się efektu błyskawic). Ilekroć jednak trzeba było odmalować głębsze przeżycia emocjonalne, tam Twardowski sięgał do bardziej tradycyjnego sposobu komponowania, nie rezygnującego z przebiegów linearnych. Obok efektów jaskrawych umie on wydobyć z orkiestry barwy niezwykle subtelne, dominujące zwłaszcza w scenach lirycznych II aktu. Odrębną kartę stanowią interludia orkiestrowe, zwłaszcza pełna ekspresji, polifoniczna w swej fakturze muzyka oddzielająca scenę sądu od następnej odsłony w tawernie, należąca z pewnością do najlepszych kart partytury „Lorda Jima".

W realizacji opery postawiłbym na pierwszym miejscu świetne przygotowanie muzyczne pod kierunkiem gościnnie występującego w Łodzi Antoniego Wicherka: znakomicie grająca orkiestra, czysto i z dobrą dykcją śpiewające chóry (kier. Z. Pawelec), wyrównany, wysoki poziom solistów, wśród których obok doświadczonych artystów znalazło się kilku debiutujących utalentowanych wychowanków PWSM (Andrzej Malinowski, Ryszard Mielniczuk, Jerzy Rynkiewicz i Włodzimierz Zalewski). W roli tytułowej wystąpił z powodzeniem Franciszek Przestrzelski, tenor o bardzo dobrych warunkach fizycznych, dysponujący silnym głosem o ładnej barwie. Janusz Zipser w tej samej roli był mniej przekonywający, głównie ze względu na nieszczególną tego dnia dyspozycję głosową. Aktorskie ujęcie tej trudnej roli raziło niedojrzałością, zbytnią egzaltacją. Sądzę jednak, że sprostać mogłoby jej chyba tylko bardzo niewielu wytrawnych aktorów dramatycznych. Obydwa elementy: wokalny i aktorski, umieli harmonijnie połączyć odtwórcy postaci Doramina — Władysław Malczewski i Jerzy Jadczak. W jedynej głównej roli kobiecej — Tanili, wdziękiem scenicznym i pięknym głosem czarowała publiczność Delfina Ambroziak, a w drugim przedstawieniu Ewelina Kwaśniewska. Niewielka, charakterystyczna rola Corneliusa należy w tym spektaklu do najświetniejszych, zarówno dzięki trafnemu ujęciu jej przez librecistę, jak przede wszystkim kapitalnej kreacji Zdzisława Krzywickiego. Jak najlepsze wrażenie wywarł też występujący w tej samej roli Mieczysław Zalewski, chociaż jego zbyt „klasyczny" sposób śpiewania niezupełnie odpowiadał tej właśnie postaci. Do najlepszych należy III obraz I aktu rozgrywający się w portowej tawernie z pomysłowym epizodem damskiej orkiestry i jej impresariem. Roman Werliński śpiewał tu i grał na swym zwykłym wysokim poziomie, prawdziwą jednak niespodziankę sprawił w tej partii w drugiej premierze Jerzy Rynkiewicz swym dźwięcznym, dobrze wyszkolonym głosem i swobodą sceniczną. Z innych ról epizodycznych do ciekawszych należały śpiewane „mowy" prokuratora (Ryszard Mielniczuk, Eugeniusz Nizioł) i obrońcy (Adam Duliński, Jan Kunert). Wielu spośród 20-osobowej obsady solistów, których nie sposób wszystkich tu wymienić, występowało w obydwu premierach w różnych rolach, stanowiących niekiedy tak skrajne przeciwieństwo jak statyczna, ale wyposażona w bogatą melizmatyczną melodykę postać muezzina i ruchliwa, wymagająca swady konferansjera partia impresaria.

Niezbyt frapujące tańce egzotyczne w układzie Teresy Kujawy dodawały kolorytu lokalnego I scenie w Patusanie, miały jednak tylko bardzo luźne powiązanie z akcją, w której pewną rolę odgrywa jedynie Dain (soliści baletu: Franciszek Knapik i Jacek Solecki). Koloryt lokalny wsi malajskiej podkreślała udana scenografia Mariana Kołodzieja, zawierająca w całym zresztą przedstawieniu szereg ciekawych pomysłów, jak choćby efekt fal morskich wyświetlanych w scenie tonącego okrętu, olbrzymie lustro ustawione nad podium dla orkiestry w III obrazie, czy wspomniana już wyszukana stylizacja egzotyki w II i III akcie.

Reżyseria Marii Fołtyn jest dość nierówna. Po ekspresjonistycznym obrazie I następuje niemal surrealistyczna i dość dziwna scena sądu. Sędziowie z patosem wykrzykują swe kwestie i to już nawet we wstępnym badaniu oskarżonego (efekt zamierzony czy zwykłe współzawodnictwo ze zbyt silnym podkładem orkiestrowym?) Publiczność sądowa jawi się przed oczyma Jima jako widma pielgrzymów, a po scenie na pierwszym planie spaceruje świadek wydarzeń i narrator, kapitan Marlow. Na marginesie zauważmy, że ta właśnie postać wyraźnie „nie wyszła" Twardowskiemu, choć nie można mieć zastrzeżeń do jej odtwórców (Antoni Majak i Stanisław Heimberger).

Wracając do reżyserii: po bardzo dobrej odsłonie w tawernie następuje cukierkowaty, niemal sztampowy I obraz w Patusanie, z kolei piękna, pełna umiaru scena liryczna z doskonałym epizodem Corneliusa i dobry akt III z werystycznym finałem.

W przygotowanie „Lorda Jima" włożono ogrom pracy, który w rezultacie przyniósł zasłużony sukces twórcy i wykonawcom. Nie mam zamiaru go negować, pomimo wszystkich wysuniętych tu zastrzeżeń. Myślę, że opera cieszyć się będzie powodzeniem przede wszystkim u uczniów II klas LO, dla których „Lord Jim" jest lekturą obowiązkową, choć niechętnie czytaną, bo zbyt trudną. Spektakl ten winni też zobaczyć (i usłyszeć) wszyscy kulturalni ludzie. Być może, że zachęci on do przeczytania conradowskiego arcydzieła tych, którzy dotychczas nie mieli okazji zetknąć się z nim w oryginalnej wersji powieściowej.

Romuald Twardowski „Lord Jim", dramat muzyczny w trzech aktach. Prapremiera 14.II.1976 r. w Teatrze Wielkim. Kier. muz. — A. Wicherek, reżyseria — M. Fołtyn, scenografia — M. Kołodziej, choreografia — T. Kujawa.

KSIĄŻKA

ZBIGNIEW DOMINIAK
Notatki urodzonego potem

Najbliższa przeszłość, odcinek czasu, o który mogła zahaczyć nasza pamięć, ale zrządzeniem losu nie został nam dany, jest polem pisarskiego zainteresowania na równi z „naoczną" teraźniejszością. Szczególnie gdy przeszłość ma do zaoferowania wydarzenia gwałtowne, przełomowe, wydarzenia o wymiarze historycznym, pragnienie wniknięcia w nią staje się dla pokolenia następnego wezwaniem do sprostania wyobraźni. W efekcie wielokrotnie zdarzało się, że nie świadkowie lecz ich potomkowie — z całą dziecięcą wrażliwością wzrastający w atmosferze rodzinnych opowieści i mitów — dawali bogate panoramy życia, czynili drapieżne i odkrywcze przekroje; wnikali w mechanizmy czasu przeszłego — jeszcze nie historii odczytywanej z pisanych źródeł, już nie emocjonalnie przeżywanej teraźniejszości.

Niejedno z wielkich dokonań w literaturze czerpało swoje inspiracje z kronik rodzinnych i „klechd domowych". Podobnego pochodzenia jest również tworzywo „Notatek do dni pierwszych" Władysława Huzika, ale poszukiwanie własnego rodowodu, próba usytuowania go w czasie i przestrzeni ma tutaj z konieczności zawężone granice. Odkrycia Huzika nieuchronnie skazane są na banalność, tzn. typowość, bowiem rodowody większości łodzian prowadzą w nieodległą anonimowość. „Wyrośliśmy się wszyscy, cała moja rodzina — mogą oni powtórzyć za pisarzem — z podłódzkich wiosek (...) ale i z tego bezimiennego tłumu, co do Łodzi najdziwniejszymi drogami z całego świata ściągnął". W rodzinnej legendzie, sięgającej Wiosny Ludów, majaczy tajemnicza Węgierka, która pradziadka Hyżego z ran wyleczyła i do domu przywiozła. Pradziad kuźnię prowadził pod Lutomierskiem, a poza zajęciami zawodowymi „dzieciaków okrągły tuzin spłodził i budował przez całe życie perpetuum mobile". Dziadka, który po pijanemu przy chrzcie pierworodnemu zmienił nazwisko, również nie opuszczał nadmiar fantazji. Nic więc dziwnego, że z kuźnią rady sobie dać nie mógł i na początku wieku ściągnął do Łodzi, aby wmieszać się w jej różnonarodowy tygiel.

„Dla mnie historia Łodzi zaczyna się w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym. Wtedy się urodziłem." lub „to miasto urodziło się dopiero w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym. Na kilka miesięcy przede mną." — wyznaje Huzik wielokrotnie. „Nigdy już nie będę znał Łodzi — pisze w innym miejscu — jaką była dawniej. Nie mogę mieć nawet pojęcia o tym różnorodnym, jarmarcznym tłumie, przelewającym się dawniej jej ulicami, niezwykle barwnym i żywotnym, ani o bogactwie, wschodnim niemal przepychu pałaców i parków fabrykanckich, sąsiadującymi z dzielnicami przysłowiowej nędzy. (...) Może dlatego właśnie z takim uporem wracam do tych d n i p i e r w s z y c h, gromadzę notatki, strzępy pożółkłych gazet, szperam w bibliotekach i wysłuchuję opowieści starszych ludzi, którzy zdołali je zapamiętać." I w gruncie rzeczy bardziej niż o „dniach pierwszych" pisze o „dniach ostatnich", o Łodzi, która odeszła w bezpowrotną przeszłość. Mimo że ocalało z wojennej pożogi w swoim kształcie urbanistycznym, „Rany zadane miastu są głębsze, równie tragiczne, jak gdzie indziej"; „Na prawie 700 tysięcy mieszkańców — dokładne liczby nie są tu oczywiście ważne — żyło w Łodzi około 200 tysięcy Żydów oraz prawie 100 tysięcy Niemców. Przed wojną. Żyli obok siebie, zgadzali się lub kłócili, jak to sąsiedzi, dopóki nie nadeszła wojna. W roku 1945 ocalało zaledwie około 300 tysięcy łodzian. Samych Polaków."

Sięga Huzik do bolesnych spraw i dylematów, przed którymi stanęli ci, którzy niegdyś wspólnie budowali to miasto, do tragedii indywidualnych i zbiorowych, do nie do końca zagojonych punktów w topografii Łodzi: Radogoszcza, gmachu gestapo przy ulicy Anstadta, więzienia przy Danzigstrasse, obszaru getta. Na przykładzie rodziny majstra Schilera, który na miesiąc przed wyzwoleniem wcielony do hitlerowskiej armii, poległ, a listonosz musiał jego żonie i córce przetłumaczyć „niezrozumiały niemiecki tekst" zawiadomienia o śmierci, autor ukazuje problemy, przed jakimi wojna postawiła zasymilowanych łódzkich Niemców.

Łódź była przed wojną drugim po Warszawie skupiskiem żydostwa polskiego, liczącym około 250 tysięcy ludności. Getto łódzkie, utworzone w wydzielonej z części Bałut tzw. dzielnicy żydowskiej, posiadało niespotykaną gdzie indziej strukturę organizacyjną. Z woli władz niemieckich otrzymało pozorną autonomię, służącą jako instrument systematycznej ekspropriacji i eksterminacji własnej ludności. Powołano urząd Przełożonego Starszeństwa Żydów („Aeltester der Juden der Stadt Lodsch") i Radę Starszych. Przełożonym został mianowany Chaim Mordechaj Rumkowski, degenerat, despota, megaloman. Władca łódzkiego getta, posiadający własną rezydencję na Bałuckim Rynku, zamienił je w karykaturalne księstwo. W tym państwie śmierci organizował paradne defilady, podczas których maszerującej młodzieży nakazywał wznosić okrzyki: „Haichna hanasi!", niech żyje książę! Getto posiadało własne pieniądze, sądownictwo, policję, więzienie, własną pocztę, wydział służby zdrowia, sieć zakładów pracy. Cała ta obłudna mistyfikacja służyła utrzymaniu w getcie spokoju i porządku, umożliwiających sukcesywne wyniszczenie Żydów morderczą pracą, głodem i grabieżą, wreszcie wysyłką do obozów koncentracyjnych, czego zresztą sam „książę" nie uniknął. Z 300 tysięcy Żydów, którzy przeszli przez łódzkie getto, ocalało zaledwie 877 osób.

Obok zapisów opowiadań i relacji świadków, wierszy, wspomnień z dziecięcych wędrówek ulicami Łodzi, wypisów z dzieł innych pisarzy, dywagacji przy pomocy języka staro-cerkiewno-słowiańskiego nad źródłosłowem Radogoszcza, w książce Huzika znaleźć można również zbeletryzowane opisy autentycznych wydarzeń, z nieśmiałymi próbkami psychologizowania, jak np. wstrząsająca zabawa w manеż, podczas której w obozie w Radogoszczu więźniowie biegali boso po rozżarzonym żużlu w rytm rzemiennych biczy, zakończonych żelaznymi kulkami. Albo historia Wirka, ofiary „Lebensbornu", którego jako pięcioletnie dziecko zabrano do obozu koncentracyjnego przy ulicy Przemysłowej i poddano „germańskiej reedukacji". Choć Wirka po wojnie przywieziono do Polski, powrót do własnej rodziny nie był już możliwy, gdyż wszystkie dokumenty „Lebensbornu" zostały zniszczone.

Huzik podejmuje swoje penetracje przeszłości, „aby nie zdołali zapomnieć ci, którzy urodzili się p o t e m". Doceniając ambitne zamierzenia autora, należy jednak na koniec wspomnieć o niewątpliwych apanażach, jakie posiadają nad nim dawni mistrzowie, którzy nie publikowali notatek, ale od razu skończone dzieła. Zastanawiam się, czy Huzik nie uległ tu mimo woli złudzeniu, że brulionowość może być wystarczającym wyrazem nowoczesności?

Władysław Huzik, Notatki do dni pierwszych, Wyd. Łódzkie, Łódź 1975

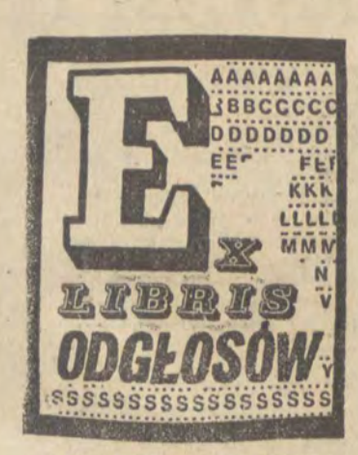

JASTRUN

Ponad 800 stron liczy tom „Poezji zebranych" Mieczysława Jastruna. Poeta debiutował w 1929 roku tomem „Spotkanie w czasie" i właśnie ów „czytelnikowski" zbiór zawiera zasadniczą część wierszy Jastruna drukowanych w latach 1929—1973.

Jeśli zważymy, że poeta debiutował w roku 1923 wierszami ogłaszanymi w prasie literackiej, ów potężny tom jest właśnie jubileuszowym wyborem, zawierającym pięćdziesięcioletni dorobek poetycki Mieczysława Jastruna.

W krótkiej nocie „Od Autora" czytamy, że „niektóre utwory uległy uzwięźleniom, poprawkom, skrótom...". Oczywiście to prawo pisarza i nawet istnieje zasada mówiąca, że za obowiązującą wersję uważa się zawsze ostatnią publikowaną za życia autora. Tylko.. Wiersze napisane pół wieku temu są zapisem stanów emocjonalnych, wiedzy, umiejętności, sytuacji sprzed 50 lat. Poprawki wznoszone w innym czasie i innej sytuacji emocjonalnej, przy innym już doświadczeniu pisarskim, stanowią chyba jakiś fałsz literacki.

Niewiele jest tych „poprawek i udoskonaleń" w tomie Jastruna, jest to — mimo tych uwag — wybitna książka poetycka, tak jak wybitny jest dorobek autora. Pozycja Jastruna we współczesnej poezji jest ustalona i wysoka — nie ma zresztą potrzeby o tym przypominać, dlatego na marginesie informacji o „Poezjach zebranych" pozwoliliśmy sobie na uwagi o zwyczajach, które pisarze starszego pokolenia stosują, zubażając i zamazując autentyczną wymowę własnej twórczości.

Mieczysław Jastrun „Poezje zebrane", Czytelnik, cena 100 zł.

WYCHOWANIE PLASTYCZNE

Stefan Kościelecki jest plastykiem działającym na niwie upowszechniania plastyki. Jest również pedagogiem — zetknął się zatem z różnymi zadaniami wychowania plastycznego. W swojej książce proponuje Kościelecki oryginalną koncepcję wychowania plastycznego, w której pierwszoplanowym celem jest ogólnowychowawcze działanie na jednostkę, a dopiero wtórnym celem jest wprowadzenie w świat sztuk plastycznych.

Książka jest teoretyczną rozprawą, a nie podręcznikiem. Dlatego też — uprzedza autor — nie należy traktować wszystkich zawartych w niej wywodów jako prawd ostatecznych. Publikacja ta ma zachęcić Czytelnika do własnych przemyśleń i wskazań na nowe możliwości spojrzenia na zagadnienie wychowania plastycznego, co nie oznacza, że książka nie może być pomocną nauczycielowi wychowania plastycznego. Wręcz przeciwnie.

Stefan Kościelecki „Współczesna koncepcja wychowania plastycznego", PWN, cena 52 zł.

TEATRALIA

Tadeusz Kudliński debiutował tomem nowel w roku 1928. Potem wydał kilkanaście powieści o tematyce współczesnej, historycznej, archeologicznej a także publikował swoje pamiętniki. Obok powieściopisarstwa uprawia Kudliński także publicystykę teatralną. Z tych zainteresowań zrodziły się takie książki jak tom recenzji „Pod teatralną szminką" oraz dwa podręczniki dziejów teatru.

Nowa książka Tadeusza Kudlińskiego jest sumą jego przeżyć i wrażeń teatralnych z okresu ponad 60 lat — jako widza, a później także recenzenta i popularyzatora. Jest — jak wszystkie wspomnienia — na wskroś subiektywną oceną opisywanych zdarzeń. Ożywają dawne przedstawienia i znakomici aktorzy, kolejne przemiany sztuki teatralnej aż po współczesność, gdy tradycja ściera się gwałtownie z poszukiwaniem nowości.

Autor nie tai przy tym swego entuzjazmu dla jednych zjawisk, negatywnie zaś ocenia inne, korzystając w dużym stopniu z przywileju swobody sądu nie tylko zawodowego krytyka, ale i beletrysty.

Pisze Kudliński: „Nie chciałbym wzbudzić w Czytelniku nieufności co do prawdy opisanych tu spraw i osób. Dopraszam się tylko o prawo do własnej postawy. Zapewne niejedną relację upiększyłem z potrzeby serca, innej znów poskąpiłem ciepła i barw...". Ale pewno i w tym właśnie urok książki.

Tadeusz Kudliński, „Dawne i nowe przypadki „teatralia". Wyd. Literackie, cena 60 zł.

SZKICE HISTORYCZNE

Zbiór felietonów historycznych Jerzego Janusza Tereja ukazał się niedawno i od razu został zauważony przez krytykę. „Spotkania z Klio" czyli spotkania z muzą historii zaliczanej przez Greków do sztuki — na pewno są udanym rendez-vous.

Przedmiotem zainteresowań badawczych Jerzego Janusza Tereja, pracownika naukowego Instytutu Historii PAN, jest najnowsza historia polityczna Polski, a zwłaszcza okres II wojny światowej. J. J. Terej jest autorem pracy „Rzeczywistość i polityka". Ze studiów nad dziejami najnowszymi „Narodowej Demokracji", która to praca została wyróżniona nagrodami Wydziału Nauk Społecznych PAN oraz tygodnika „Polityka". Wydał także szkice „Idee, mity, realia" (także o Narodowej Demokracji) oraz jest współautorem książki „Europa podziemna 1939— 1945".

J. J. Terej uprawia publicystykę historyczną, jest stałym współpracownikiem tygodnika „Literatura". Szkice i felietony zamieszczone w tomie „Spotkania z Klio" mówią o wielu wybitnych postaciach polskiego życia politycznego XX wieku, których działalność — biegnąca często trudnymi i zawiłymi drogami — wzbudza wciąż żywe zainteresowanie. W książce pomieszczono również szereg artykułów polemicznych Tereja, artykułów na temat sądów i opinii zakorzenionych w świadomości społecznej, które nie znajdują uzasadnienia w konfrontacji z prawdą historyczną.

Jerzy Janusz Terej „Spotkania z Klio", Czytelnik, cena 35 zł.

GENERAŁ ZAJĄCZEK

Generał Józef Zajączek jest postacią kontrowersyjną, wywołującą jeszcze czasem dość ostre spory, niemniej jednak ciekawą i nieprzeciętną, która w ciągu siedemdziesięciu czterech lat swego życia odgrywała znaczną, niekiedy nawet doniosłą, rolę w naszych dziejach.

Wprawdzie Francuzi uwiecznili jego nazwisko — wśród innych zasłużonych wojskowych — na Łuku Triumfalnym w Paryżu, ale rodacy nie uznali go za bohatera, historycy zaś nie poświęcili mu nawet najskromniejszej monografii, czy choćby dłuższego wspomnienia. Blędy starości przesłoniły bojową, niekiedy chwalebną przeszłość księcia namiestnika i z czasem wymazały go z pamięci pokoleń.

Książka Jadwigi Nadzieji jest pierwszą próbą biografii generała Józefa Zajączka od zarania jego życia aż do śmierci w roku 1826, ze szczególnym uwzględnieniem jego działalności wojskowej. Autorka przedstawia nam trzy etapy życia Zajączka — od czasów jego walk ze zdrajcami spod znaku Targowicy — aż po okres kiedy był Zajączek z łaski cara Wszechrosji namiestnikiem Królestwa Polskiego. Właśnie w tym ostatnim okresie życia generał najmniej chlubnie zapisał się na kartach historii. Współcześni zarzucali mu przede wszystkim bierność i uległość wobec wielkiego księcia Konstantego i senatora Nowosilcowa, oskarżali go o brak inicjatywy w obronie konstytucji Królestwa. Jakkolwiek jest to smutna prawda i trzeci etap życia Józefa Zajączka nie zawiera już wielu chlubnych kart, to jednak, mimo wszystko, nie powinna przekreślać przeszłości niezwykle energicznego i mężnego generała.

Jadwiga Nadzieja „Generał Józef Zajączek", Wyd. MON, cena 140 zł.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

ŁÓDZKI FOLKLOR

Za parę dni w sali empirowej Muzeum Historii Miasta Łodzi odbędzie się nasza doroczna uroczystość ogłoszenia wyników plebiscytu „Odgłosów" na Łodzianina Roku. Przy tej okazji zaprezentujemy zaproszonym próbkę łódzkiego folkloru. Oczywiście nie jesteśmy tu specjalnie oryginalni. Tego rodzaju przeglądy i koncerty mają miejsce zarówno w Muzeum Sztuki jak i w Muzeum Miasta, pod arkadami Starego Rynku jak i w salach domów kultury... Ale pamiętam pierwszy tego rodzaju przegląd, przed bodaj 15 laty, a może jeszcze dawniej — w Klubie Dziennikarza. Wtedy była to nowość, pierwsze po latach przypomnienie folkloru łódzkich przedmieść... Była to nowość, bowiem — jak mówi znane porzekadło — nic nie jest tak nowe i odkrywcze jak to co kiedyś zostało zapomniane.

Dlatego wielka chwała Muzeum Historii Miasta za wydanie albumu „Folklor robotniczej Łodzi". Niestety, jest to publikacja unikalna, nakład zaledwie 1000 egzemplarzy, ale dobrze, że jest, że stanowi niepowtarzalny dokument.

A jest to publikacja, której powstaniu patronowała Rada Wydawnicza, w skład której wchodzą znakomici specjaliści przedmiotu: **prof. dr Kazimiera Zawistowicz-Adamska, doc. dr Bronisława Jaworska, dr hab. Jadwiga Kucharska, dr Jan Piotr Dekowski, mgr mgr: Krystyna Potocka-Suwalska, Witold Nowosz, Wojciech Walczak. Redaktorami albumu są Konrad Frejdlich i Antoni Szram.**

Publikacja dziś jest już niejako „białym krukiem", ale piszę o niej właśnie z okazji zakończenia naszego plebiscytu na Łodzianina Roku, bo przecież ci wszyscy, których praca i wiedza złożyły się na organizowany przed trzema laty konkurs „Folklor robotniczej Łodzi" — na miano Łodzianina Roku zasługują.

Folklor łódzkiej klasy robotniczej, mimo wyraźnych akcentów regionalnych, wykazuje pokrewieństwo z twórczością proletariacką innych miast a nawet krajów. Spotykamy w nim treści rewolucyjne, ale spotykamy też najczystszą lirykę, nie brak także humoru i wyraźnych rysów obyczajowych. Ta słabo jeszcze poznana dziedzina stanowi nieocenione bogactwo dla etnografów, socjologów kultury i historyków zainteresowanych dziejami proletariatu.

Publikacja ta stanowi też opracowanie pionierskie i z pewnością stanie się zachętą do gruntowniejszych badań.

Stary łódzki folklor ocalany w repertuarze zespołów wokalno-muzycznych, muzykantów i pieśniarzy, przypomina wzruszenia, sprawy i nastroje, jakimi przed laty żyła łódzka ulica.

„Lutomierska numer czwarty
tam się hula nie na żarty
a kapela co niedziela
rozwesela gości moc..."

Ale były także i takie akcenty:

„Nędza z Łodzi mnie wygnała
głód mnie rzucił pośród was,
śpiewałabym, nie mam komu
szumi tylko wkoło las".

Dobrze, że zrozumieliśmy, iż piosenka, wiersz samorodnego poety, opowieść — to także zabytki kultury, podobnie jak gmachy pałaców i secesyjne frontony domów, witraże na klatkach schodowych, kute bramy i żeliwne maszkarony. Ale domy i pałace stać jeszcze będą długo przy łódzkich ulicach, a te ulotne melodie i przyśpiewki nieuchronnie i szybko umykają w niepamięć. Więc trzeba je chronić, bo stanowią dokument spraw i wzruszeń.

Dokument życia miasta, w którym istotna jest praca i dom, ale także majówka z harmonią na Zdrowiu. Dlatego pisząc z uznaniem o folklorystycznym albumie Muzeum Historii Miasta, chcę wyrazić także uznanie tym wszystkim, którzy ocalając stary łódzki folklor zasłużyli sobie na miano już nie Łodzianina Roku, ale Łodzianina Dziesięcioleci.

WIDOK

PROPOZYCJE

NIE UFAĆ drugiej NATURZE

Przyzwyczajenie — powiadają ludzie — jest naszą drugą naturą. Jest to tak oczywiste, że często zapominamy o tej starej prawdzie. Trzeba dopiero przypadku, aby to, do czego przywykliśmy ukazało się w innym świetle, abyśmy sobie uświadomili, że można inaczej.

Przez długie lata dysponowaliśmy jednym programem telewizyjnym i było dobrze. Kiedy pojawił się drugi program, pozostawał on w cieniu pierwszego i przyzwyczailiśmy się, że ustępuje swojemu poprzednikowi. Przyzwyczailiśmy się, że do tego drugiego zaglądamy tylko w wyjątkowych przypadkach, kiedy znajdujemy coś ciekawego w zapowiedziach lub kiedy w drugim programie idzie powtórzenie z pierwszego. Ale oto drugi staje się powoli równorzędnym partnerem pierwszego i trzeba będzie przyzwyczaić się do czegoś innego. Nie wiem tylko, co stanie się z naszymi przyzwyczajeniami, skoro na antenie zagości trzeci program TVP.

Radio dało już nam cztery programy i to bardzo dobrze, tylko że tu wraz z przyzwyczajeniami trzeba też zmienić odbiorniki. A z tym już jest trochę gorzej. Tak więc dla wielu z nas dobrodziejstwo trzeciego i czwartego programu — emitowanego na falach ultrakrótkich — pozostaje nieosiągalne. I nie tylko z naszej winy. Mamy niby dobry przemysł radiotechniczny, ale kupić dobry, nowoczesny odbiornik nie jest taka łatwa sztuką.

Z telewizją sprawa niby jest prostsza: wystarczy przerzucić kanał, a w nowocześniejszych odbiornikach telewizyjnych nacisnąć odpowiedni klawisz i już mamy inną audycję. Tylko jeszcze nie wszyscy wyrobili sobie ten drobny nawyk. Na ogół wszyscy uparcie włączają program pierwszy i chyba, że nie znajdują tam nic interesującego, przełączają na drugi. We wtorek, 24 lutego 1976 roku, zrobiłem tak i — przyznam się — że nie żałuję. W tym to czasie przed kamerami telewizyjnymi drugiego programu zasiedli Jerzy Binder, Andrzej Królikowski i Wiesław Machejko. A zasiedli po to, aby przed ewentualną telewizyjną widownią porozmawiać o sprawie, która wszystkich nas powinna obchodzić: o czynach społecznych.

Nikt nigdy nie próbował nawet kwestionować wychowawczych i materialnych wartości czynów społecznych. Wszyscy są zgodni, że najwyższym walorem tego typu pracy jest spontaniczność. Wspólny wysiłek, wygospodarowany nieraz z napiętego budżetu czasu osobistego i rodzinnego, może przyczynić się do stworzenia nowych wartości. Niewielka z pozoru praca: uporządkowanie osiedla, trawników przed blokiem, fabrycznego podwórka, przynosi w efekcie nie tylko wymierne korzyści. W czynie społecznym można zresztą robić rzeczy małe i duże.

Ale też nikt nie zaprzeczy, że to, co zwykliśmy nazywać czynem społecznym obrosło już oficie biurokratycznymi praktykami, a niejednokrotnie stało się formą wymuszania od państwa różnych, nieplanowanych inwestycji. My — rozumują niektórzy „działacze" — zaczniemy, a później państwo nam pomoże, da pieniądze i zrobi to, cośmy zaczęli. I tak „wyjdziemy na swoje".

Jerzy Binder, Andrzej Królikowski i Wiesław Machejko przed kamerami telewizyjnymi zwrócili też uwagę na „instytucję" zamienników. Ten i ów, a w tym młodzież szkolna, zostali obłożeni obowiązkiem pracy społecznej. Ale jeśli nie chcecie pracować, to — proszę bardzo — możecie swoją pracę na rzecz społeczeństwa zamieniać na makulaturę, pieniądze, złom. Chyba nie o to w tym wszystkim chodzi.

I jeszcze na jedną sprawę zwrócili uwagę trzej dziennikarze z „łódzkiej telewizji": na machanie łopatą. Dla wielu z nas czyn społeczny kojarzy się nieodparcie właśnie z machaniem łopatą. Machałem i ja już kilka razy łopatą z różnym zresztą pożytkiem. Pewnie, że machanie łopatą na świeżym powietrzu wielu się przyda. Ale mamy wśród nas wielu ludzi, których wiedzę i doświadczenie można byłoby z większym pożytkiem wykorzystać w ramach pracy społecznej i którzy chętniej się takiej pracy podejmą. Poza tym machanie łopatą ma jeszcze i tę złą stronę — a wiemy to z praktyki — że po takiej pracy przychodzi „silna grupa pod wezwaniem MPK czy zieleni miejskiej" i niweluje to wszystko, cośmy tam wspólnie namachali.

Praca społeczna powinna być świadomym i dobrowolnym działaniem na rzecz przyśpieszenia naszego społecznego rozwoju. Jest to prawda aż nadto oczywista, ale jakże często już zapomniana. Dlatego jestem bardzo wdzięczny Jerzemu Binderowi, Andrzejowi Królikowskiemu i Wiesławowi Machejce, że chcieli usiąść przed kamerami i porozmawiać o tym, o czym wszyscy dawno wiemy, ale o czym jakoś „nie wypadało" mówić. I byłbym nie dorzucał swoich „trzech groszy" do tego, co oni mówili, nie powtarzał ich spostrzeżeń i przemyśleń, gdybym miał pewność, że wielu telewidzów przezwyciężyło swoje przyzwyczajenie i tego właśnie dnia przełączyło się o godzinie 19 na drugi program.

Gorąco namawiam: nie ufajmy swojej drugiej naturze — przyzwyczajeniom! Zaglądajmy częściej do drugiego programu bo warto.

MARCIN RODAK

ROZRYWKA

POP – MUSIC

Kiedy jeden z idoli pop-music Marc Bolan zaczął posługiwać się makijażem i występować w seksualnie dwuznacznych strojach ozdobionych złotymi świecidełkami — w muzyce pop coś zaczęło się kruszyć. Już w czasie, kiedy bracia Osmonds — jak ich nazwał krytyk George Melly prawdziwe dzieci „telewizyjnej ery" fascynujący swym śpiewem głównie dziewczęta w wieku dojrzewania, lądowali w aeroporcie Heathrow, gdzie oczekiwało ich ponad 10 tysięcy młodych ludzi obojga płci (zdezorganizowany ruch kołowy, odwołane loty samolotowe) — rysa była już wyraźna. Do mody bowiem wracała ballada, folk-songs. Muzyka komunikatywna, z tekstem zmuszającym do myślenia.

Tegoroczne targi w Cannes MIDEM-76 fakt ten potwierdziły sukcesem Joan Baez, która śpiewała swe najpopularniejsze songi „Sacco and Vanzetti", „Blowin' in the Wind" oraz sukcesem radzieckiej grupy „Piesniary". Rewelacją koncertu w Cannes (w teatrze „Les Ambassadeurs") była również Alla Pugaczowa i Jan Frenkel radziecki trubadur piosenki poetyckiej. Fakt, iż na styczniowym spotkaniu międzynarodowego showbussinesu jakim jest MIDEM obok awangardowego zespołu Ricka Wakemana z Anglii wystąpiła Nicole Croisille nazywana pieśniarką paryskiej ulicy, również świadczy o pewnym przetasowaniu w „układzie sił" — muzycznego przemysłu. Na rozległej ziemi niczyjej — pomiędzy rozrywkowym szlagierem, a pieśnią ludową — tzw. folk songs, zajęła mocną pozycję, nawet gdy nie da się z całą ścisłością ustalić, jako że niektórzy jej przedstawiciele skłaniają się bardziej do szlagieru, inni zaś do pieśni ludowej — i to zarówno pod względem repertuaru, jak też stylu interpretacji. Twórcy tego nowego genere'u wyraźnie wyczuli lukę, dotychczas nie zapełnioną przez popularną muzykę rozrywkową. Muzykę typu folk tworzą młodzi, awangardowi poeci — kompozytorzy, jak np.: Bob Dylan, Joan Baez, czy też znany z szeregu recitali odbytych w Polsce — Pete Seeger. Śpiewają oni ludowe ballady mimo, że w przeciwieństwie do prawdziwej piosenki ludowej, większość ich przebojów posiada określonych autorów, z reguły wykonawców i kompozytorów.

Pieśń ludowa nieustanie podlega zresztą przemianom, przekształceniom, coraz to inaczej się ją śpiewa, przystosowując do okoliczności i potrzeb. Śpiewka uliczna, czy wiejska podlegała tak samo prądom i modzie, jak evergreens (przebój), szlagier, (standard), z którymi była spowinowacona. Przecież szlagier, podobnie jak pieśń ludowa musi się podobać, żeby miał szansę utrzymania się na ustach ludu. Stąd niezwykła popularność stylizowanej piosneczki „Szła dziewczeczka do laseczka", którą można osądzić w kategoriach pasierbicy przy dziedzicu prawowitym, jakim jest autentyczna piosenka ludowa.

Stąd też nieustająca popularność „La Palomy", szlagieru, który przetrwał wszystkie fluktuacje mody i słuchany oraz tańczony jest od ponad 100 lat. Messieurs, chapeaux bas, c'est un génie. Tak miał wyrazić się Robert Schumann o młodym Chopinie. „Panowie, kapelusze z głowy, to genialna rzecz", można by parafrazując Schumanna powiedzieć o „La Palomie". Od stu lat słyszymy ją w każdej knajpie od Nowosybirska, poprzez Warszawę i Berlin do San Francisco. Można by tak rzec, ale nie można kalać świętości.

Pomiędzy operą, tzw. muzyką poważną, pieśnią ludową, a rozrywkowym piosenkarstwem, pozostają jeszcze rozległe obszary popularnego pieśniarstwa. Będzie to więc kuplet, który wszedł między lud z kabaretu przedmiejskiego i sceny operetkowej, będzie to piosenka wodewilowa — od „Opery Żebraczej" Pepusch, poprzez Stanfussa do Hillera, będzie to przebój operetkowy Offenbacha, Straussa czy Lehara, aż do rewii i musicalu czasów dzisiejszych. I chociaż wszystkie te produkty wielkomiejskiego życia muzycznego płyną nieprzerwanie w światłach estradowych ramp lub blasku jupiterów filmowych atelier, to przecież ballada folklorystyczna jest ciągle żywa.

ANDRZEJ JÓŹWIAK

magazyn

GDZIE JEST MAŃKA?

No, właśnie — gdzie? Okazuje się, że Mańkę ze starej łódzkiej ballady odnaleźć można na Starym Rynku. A łódzki rodowód ballady o Mańce wcale nie jest zmyślony. Piosenkę tę zna od trzech pokoleń cała Polska, ale kto wie, że powstała ona w 1914 roku w Łodzi, że słowa napisał Czesław Gumkowski, łódzki dziennikarz, a muzykę — kompozytor Feliks Halpern?

Ale wróćmy do poszukiwań. W naszym fotoreportażu odnajdziemy łódzkich autorów — **Alicję Krawczykównę, Ninę Przybyłowską, Andrzeja Herdera, Ireneusza Kaskiewicza i Stanisława Kwaśniaka.** Oni to właśnie wystąpią w nowym programie kabaretowym Estrady Łódzkiej pt. **„Gdzie jest Mańka"**. Scenariusz i reżyseria: Sławomir Rosiak, opracowanie muzyczne Bogdan Domagała.

A na razie na Starym Rynku trwają poszukiwania.

FOTO: **MAREK GUZ**

POWIĘKSZENIA

ROZMÓWKI SALONOWE

Od czasu audycji, w której prof. **Jackiewicz** zarzucił **Zygmuntowi Kałużyńskiemu,** że ten ostatni jest niewyżyty seksualnie — poziom osobistych wycieczek w telewizyjnych dyskusjach wzrósł niepomiernie.

W nowym programie „Jak..." **Witold Filler** wytknął **Ignacemu Gogolewskiemu,** że stać go na jadanie w restauracjach (cytujemy: **„nie każdego stać na kolacje w restauracjach, panie Gogolewski..."**) Natomiast **Grzegorz Królikiewicz** oświadczył Gogolewskiemu, że jest w takim wieku, że mógłby być dziadkiem.

Popisy elegancji telewizyjnej noszą wszelkie cechy eskalacji.

NAGRODA

Ostatnio dwaj łodzianie pomogli milicjantowi schwytać przestępcę. „Express Ilustrowany" w nagrodę opublikował nazwiska z... adresami owych obywateli. Chyba po to, aby kumplom włamywacza ułatwić identyfikację.

Nazwiska przestępcy oczywiście gazeta nie ujawni-

DYSKUSJA

Witold Filler dyskutował z recenzentką teatralną „Kultury" na temat inscenizacji „Ślubu" Gombrowicza. Była to uczta duchowa.

Oto próbka dialogu: — Filler: **„Spektakl w reżyserii Grzegorzewskiego jest inny niż inscenizacja Lidii Zamkow, bardziej uniwersalny. Czy pani też tak uważa"** Pani E. Wysińska: — **„Nie widziałam inscenizacji Grzegorzewskiego".** Filler: — **„Ja też nie..."**

Z dalszej dyskusji wynikało, że Filler nie widział także inscenizacji Lidii Zamkow.

W tej sytuacji wyłączyliśmy telewizor i poszliśmy spać.

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

UKWIAŁY

Karo boska — jakże czasem jesteś nieludzka!

Rasowy lizus nawet we śnie liże — choćby własną łapę.

Dziwi mnie, dlaczego nie pomyślano dotąd, by na cmentarzach wznieść ściany płaczu?

Z tego co mówił zapamiętałem tylko SŁOŃCE.

Kusi mnie, by rozpakować pewien bogaty bagaż doświadczeń.

MAŁE KINO

„Najlepsze te małe kina..."

K.I.G

SUCHE WNIOSKI

Przy pomocy taśmy filmowej udało się rozszyfrować przyczyny niepowodzeń naszych reprezentantów na Olimpiadzie Zimowej. Wielką ulgę sprawia fakt, że, jak się okazuje, trenerzy oraz działacze sportowi nie ponoszą tu najmniejszej winy. Podczas uważnego oglądania materiału filmowego nakręconego w czasie Igrzysk, wyraźnie widać, iż winę ponosi wyłącznie pora roku oraz związany z nią śnieg i lód. W tych warunkach zawodnicy, by jako tako poruszać się, zmuszeni byli do używania sanek, łyżew czy nawet nart, tak sprzecznych z naturalną, pełną prostoty i uroku sylwetkę człowieka. W zw. z pow. mnożą się głosy domagające się przełożenia Zimowych Igrzysk Olimpijskich na przednówek lub późną jesień (jak pięknie czerwienieją wówczas buki...) oraz przeprowadzenie ich w łagodnie pofałdowanym, suchym i nieśliskim terenie.

RZECZ O PRASZCZURACH

Nasi naukowcy filmowi szykują ciekawy film, w którym spokojnie i z godnością zostaną przypomniane osiągnięcia techniczne braci prasłowian. Dowiemy się, iż nasi praszczurowie znali np. zamek błyskawiczny, jednak ze względu na swój słowiański temperament, posługiwali się nim długo i wolno. Nie obcy był im również papier higieniczny zwany przez nich, nie bez pewnej słuszności, papierem „niehigienicznym". Warto dodać, iż oni pierwsi dowcipnie przezwali łysego „żarówką" — skąd już tylko krok był do odkrycia energii elektrycznej.

ŁOWICKIE GADANIE

Śmiały eksperyment formalny zapowiada w roku przyszłym kinematografia amatorska. W filmie pt. „Mączne Przetwory" reżyserii mgr. J. Przemiałowego znajdzie się scena, w której zakochani bohaterowie spotykają się dwadzieścia lat po wojnie w barze mlecznym „Biały Paw". Nowością będzie, iż w czasie trwania sceny zakochani będą ze sobą prowadzić dialog z kluskami łowickimi w ustach.

AMERYKAŃSKIE TEMPO

W przeprowadzonym na Florydzie konkursie na najbardziej zmysłową gwiazdę ekranu, zwyciężyła bezapelacyjnie Lilia Foxal, urocza przedszkolanka dzieci skłonnych do kwadratogłowia. Lilia Foxal, korzystając jedynie z okularów słuchowych i przepaski, wykazała się posiadaniem aż pięciu zmysłów. Przewiduje się możliwie szybkie wykorzystanie Lilii Foxal w filmie, gdyż w przeciwnym razie jej powierzchnia zacznie się kurczyć i marszczyć.

ANDRZEJ CZEKALSKI

KARYKATURY SŁAWOMIRA ARABSKIEGO

SPA TiF

PANI KIEROWNICZKA

KELNER — p. LESZEK

SZATNIARZ — p. JANEK

Nic na to nie poradzę, że skrót dostojnej nazwy Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu jest popularnym „Spatifem" — restauracją nocną — miejscem legendarnym i nieco tajemniczym. Nic również nie poradzę na to, że nader często różni reportażyści obierali sobie „Spatif" jako łatwy teren opisu tzw. środowiska artystycznego. Publikacje te potęgują oczywiście legendarną sławę lokalu.

A przecież jest to normalny zamknięty klub, prowadzący działalność gastronomiczną — klub, jakich wiele. Z tą wszakże poprawką, że gość traktowany tu jest właśnie jak gość, a nie intruz, że jest tu sympatycznie i rodzinnie. „Spatif" nie jest bowiem zakładem zbiorowego żywienia, ale lokalem kontynuującym stare tradycje klubów artystycznych.

Bo proszę zważyć! Czym byłaby międzywojenna Warszawa bez „Udziałowej", bez „Małej Ziemiańskiej"... O „Udziałowej" nawet niedawno opublikował tom wspomnień dawny pikolak tego lokalu. Czym byłby Kraków okresu Młodej Polski bez restauracji Jana Michalika, która przeszła do historii jako „Jama Michalikowa". Czym byłby paryski Montparnasse bez tych restauracyjek, gdzie przesiadywali malarze i poeci, którzy dziś trafili na karty encyklopedii... Nie mówiąc już o tym, że wybitny polski matematyk, prof. Stefan Banach, podstawy stworzonej przez siebie analizy funkcjonalnej opracował na marmurowym blacie pewnej lwowskiej knajpki, gdzie codziennie gościł.

W każdym czasie i każdemu środowisku twórczemu potrzebne są takie miejsca sjesty i relaksu. „Spatif" kontynuuje więc tradycje owych lokali artystycznych, a że jest najstarszym, najsławniejszym (i najlepszym) w Łodzi lokalem tego typu, tak się wiele o nim do tej pory pisało. A że pisało się najczęściej w atmosferze skandalików?

No cóż, zawsze ciekawiej napisać o aktorze Iks czy reżyserze Igrek, niż o anonimowym Kowalskim. Stąd ten run reporterów na „Spatif", a nie na „Europę" czy bar mleczny „Wzorcowy".

Prezentując dziś parę sylwetek pracowników „Spatifu", chcemy pokazać ten lokal normalnie, bez kpiny i bez czarnego lakieru. Tylko z odrobiną humoru.

J. W.

KELNER — p. EUGENIUSZ

KELNER — p. ZDZISŁAW

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Zam. 442, R-15. Nr indeksu 26762.